Nr. 24. Poznań, niedziela 14-go czerwca 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: ul. Wilhelmowska 28.
(Drukarnia J. Fr. Tomaszewskiego.)

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: ul. Wilhelmowska 28. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

TREŚĆ.

Typy germanizatorów
górnoszląskich.

I.

Badając długo stosunki górnoszląskiej ziemi, budzącej się z długiego uśpienia do narodowego życia, zamierzam się podzielić z czytelnikami „Przeglądu“ rezultatem swoich studyów i doświadczeń, a przedewszystkiem rzucić na papier szkicowe sylwetki tych cichych i głośnych germanizatorów, którzy w najświeższym czasie w dziejach ewolucyi szląskiej wybitną odegrali rolę.

Typem germanizatora na Górnym Szląsku jest ksiądz wikaryusz Grund w Mikołowie. Dał on się poznać w sierpniu roku zeszłego podczas wyborów do sejmu z okręgu pszczyńsko-rybnickiego, gdy na zwołanem przez siebie zgromadzeniu przedwyborczem w Mikołowie, nazwał pisma górnoszląskie: „Gazetę Opolską“, „Nowiny Raciborskie“ i „Katolika“ gazetami „buntowniczemi“, a redaktorów tych gazet „buntownikami“. Wyrażał się wówczas tak: „Przyniosłem wam tu te gazety, które was buntują, a buntują was w nich redaktorzy z Poznania, ale pokażcie, że wy nie jesteście buntownicy i nie dacie się zbuntować. Buntują was, żebyście nie trzymali z księżmi, ale ja wam mówię, że wy nie macie takiego rozumu, i potrzebujecie opieki księży. Nie słuchajcie tych redaktorów z Poznania, bo oni was do buntu chcą prowadzić“.

Charakterystycznem jest to, że ten ksiądz zebrania polityczne zwołuje tylko z kazalnicy, a nie przez pisma publiczne. Mówi on śmieszną i nędzną polszczyzną, a znany jest w mieście i w okolicy z tego, że na każdem zebraniu powołany czy nie powołany się znajduje i „redy haltuje“ jak się sam po polsku wyraża. „Kapelonek“ Grund (tego słowa używa lud szląski) lubi namiętnie „redy haltować.“ Miewa mowy na zebraniach politycznych, na komersach, na „ferajnach,“ palnął śliczną mówkę na uroczystości Sedanu a nawet kropnął oracyę na niejednym „Kaffeeklatschu“. Mówca prawi po polsku i po niemiecku zawsze w tonie kaznodziejskim jak z kazalnicy, ale że biedak nie ma talentu krasomówczego, mówki jego są tak zawiłe, że śmiech wzbudzają w Niemcach i Polakach. „Kapelonek“ ten chcąc sobie zjednać popularność i posłuch u ludu, w każdą prawie niedzielę i święto na rannej mszy św. zwołuje zebrania celem zakładania kas Reiffeisenowskich. Podczas wyborów do sejmu bałamucił lud tem, że obiecywał kasy takie każdej gminie, a pan baron Huene miał się wystarać od rządu o pieniądze. Kandydaturę niemieckiego nauczyciela Latacza na posła do sejmu uzasadniał tem, że „rząd już tak dobrze jest usposobiony, że pozwoli wprowadzić język polski do szkół na Górnym Szląsku, ale potrzeba, żeby taki szkolarz jak pan „rektur“ Latacz rządowi to tylko przedstawił, a tego nikt inny nie potrafi zrobić, tylko pan „rektor“ Latacz.“ Pokazało się potem, że pan „rektur“ ani buzi nie otworzył w sejmie w sprawie wprowadzenia języka polskiego do szkół ludowych. „Kapelonek“ ten przedstawił adwokata Radwańskiego, kandydata do sejmu, a następnie do parlamentu, jako człowieka liberalnych pojęć, jako heretyka, a przynajmniej jako wątpliwego katolika. Rozsądny jednak lud polski nie dał się obałamucić, okazał, że nie jest trzodą bezrozumną, ani wołami roboczemi, dającemi się poganiać i wybrał posłem do parlamentu właśnie owego liberała, owego „heretyka“, adwokata Radwańskiego, i to jeszcze olbrzymią większością głosów, ktora germanizatorów w najwyższym stopniu przeraziła.

„Kapelonek“ Grund miewa całogodzinne kazania o polskich gazetach, polskich redaktorach i o wielkopolskiej agitacyi, zamiast ze słów ewangeli św. nauczać miłości bliźniego i innych cnot teologicznych. Używa on nawet konfesyonału do agitacyi politycznych, bo przy spowiedzi zabrania prenumerowania wszystkich innych gazet polskich z wyjątkiem organu księży germanizatorów, nowo powstałej „Gazety katolickiej“ w Królewskiej-Hucie, która jest dalszym ciągiem „Kuryera Górnoszląskiego“ wydawanego w Raciborzu. „Katolik“, „Nowiny“ i „Gazeta Opolska“ to zdaniem jego pisma heretyckie i masońskie, a dla zadokumentowania tego fałszu krzyczącego postarali się księża germanizatorzy równocześnie z powstaniem własnej gazety w Królewskiej Hucie o to, że „Katolikowi“ w Bytomiu zakazano na czele numeru zamieszczać wzmianki o błogosławieństwie otrzymanem od papieży Piusa IX i Leona XIII. Czyż takie postępowanie księży może wzbudzić w ludzie zaufanie do księży, czyż przyczynia się do podniesienia powagi duchowieństwa? Bynajmniej! Lud na Górnym Szląsku przychodzi zwolna do przekonania, że księży słuchać należy tylko w rzeczach wiary a w rzeczach polityki i w sprawach społecznych wolno się rządzić własnym rozumem.

Gdy w dniu, w którym tryumf adwokata Radwańskiego został wiadomym, dzieci z okolicznych wsi przyszły do kościoła na naukę przygotowawczą do pierwszej spowiedzi św., ksiądz Grund był tak straszliwie zirytowanym rezultatem wyborów, że w szalonej złości powiedział: „Wynoście się! Idźcie sobie na naukę do Witka!“ Objaśniam, że Witek był podczas wyborów w okręgu pszczyńsko-rybnickim do sejmu i do parlamentu wybitnym agitatorem, i jego to głównie jest dziełem, że adwokat Radwański został wybranym. Dzieci pojmując rozkaz „kapelonka“ dosłownie, przyszły do sklepu rzeźnika Witka na naukę religii. I cóż biedne dzieci zawiniły „kapelonkowi?“ Przecież one nie były wyborcami.

„Kapelonek“ Grund był przed powstaniem i jest teraz jeszcze głównym agitatorem „Gazety Katolickiej“ w Królewskiej-Hucie. Nakazał on ją abonować z kazalnicy i w konfesyonale, reklamowałna zebraniach i verajnach, rozdawał przed kościołem i na cmentarzu, rozwieszał na parkanie probostwa itd. Słowem agitował za tą gazetą wszędzie. Pomimo tej silnej agitacyi „kapelonka“ w Mikołowie a innych księży po całym Górnym Szląsku, pomimo rozrzucenia numerów okazowych w stu tysiącach egzemplarzach, wynik okazał się niepomyślnym, bo gazeta germanizatorów posiada tylko dwa tysiące płatnych prenumeratorów i 300 bezpłatnych, któremi są głównie założyciele gazety, księża germanizatorzy.

„Kapelonek“ Grund przygotowuje dzieci polskie, nie rozumiejące po niemiecku, do pierwszej spowiedzi w języku niemieckim, usuwa w kościele śpiew polski, a podczas nabożeństwa majowego wygłasza co drugi dzień nauki w języku niemieckim, lubo parafia jest czysto polską. W mowie powszednej używa on tylko niemieckiego języka i żąda, aby wszyscy parafianie w tym języku z nim rozmawiali. Całem tem swojem postępowaniem, a nadto niesłychaną bezwzględnością dokazał „kapelanek“ tego, że jest znienawidzonym przez katolików i ewangelików, przez Polaków, Niemców i żydów.

Na tem kończę sylwetkę księdza-germanizatora, a przystępuję do charakterystyki jednego z świeckich germanizatorów w tem samem Mikołowie. Jest nim drukarz Karol Miarka. Czas już wielki, aby w tym względzie rozproszyć resztki iluzyi. Karol Miarka jest synem śp. Karola Miarki, byłego nauczyciela na Górnym Szląsku, założyciela „Katolika“ bytomskiego, który położył pewne zasługi około polskości na górnoszląskiej ziemi. Dziennikarz Karol Miarka stroi się w piórka zasług swego ojca i położenie to wyzyskuje dla celów osobistych; w gruncie rzeczy jest Niemcem i germanizatorem. Już Józef Chociszewski w „Podręczniku geografii ojczystej“ na str. 60-ej powiedział, że „synowie śp. Karola Miarki się zniemczyli“. Drukarz Miarka, gdy był biednym, ale niezależnym od wpływów Niemców i księży-germanizatorów, okazywał brak wyrazistości i udawał niekiedy Polaka. Chciał on ciągnąć korzyści z ludu polskiego, a jednocześnie i Niemcom się podobać. Gdy jednak zbudował olbrzymią drukarnię z nader małym kapitałem, zabrnął w długi po uszy i rozpaczliwie szukał poparcia. Z jednej strony napierali go wierzyciele, z drugiej gnębili go Niemcy i księża, jako nie dość zdecydowanego germanizatora, a w trudnem tem położeniu oddał się duchowieństwu i przechylił stanowczo do germanizacyi. Obecnie zaprzestał używać języka polskiego, nawet w potocznej mowie. Cały swój zakład zgermanizował tak, że wszyscy pracujący u niego Polacy z Poznańskiego i ze Szląska muszą mówić po niemiecku. Żona jego, górnoszlązaczka, umiejąca po polsku, również mówi tylko po niemiecku. — Schlebia on Niemcom i umizga się księżom-germanizatorom, a z opisanym powyżej „kapelonkiem“ Grundem żyje w najściślejszej przyjaźni.

Drukarz Miarka do czasu, dokąd wydawał tylko książki do nabożeństwa i jarmarczne publikacye ludowe, nie był szkodliwym, teraz jednak, gdy wydaje dwa pisma polskie dla ludu, staje się prawdziwie niebezpiecznym. Wydawnictwo jego polskich czasopism bez tendencyi narodowych, z ukrytem dążeniem, by nie budzić ducha, bezbarwne, senne, obliczone tylko na zarobek, jest w rzeczy samej cichem, powolnem germanizatorstwem. Miarka wierzy w istnienie „wielkopolskiej agitacyi“, lęka się jej bardziej, niż Bismarckowski Niemiec i broni przystępu do pism swoich wszelkiej myśli narodowej. Strzeże on pisma te argusowem okiem, aby się w nich nie znalazło coś nieprzyjaznego dla Niemców i księży-germanizatorów. Karol Miarka głosi, że jest wydawcą dzieł ludowych i pism dla ludu, a w swoich wydawnictwach występuje przeciw ludowi polskiemu i łączy się z jego nieprzyjaciołmi. Przytoczę tu małą próbkę zasług Karola Miarki dla ludu górno-szląskiego. — W Poznańskiem mało komu zapewne wiadomem jest, że Miarka wydaje także „blat“ niemiecki i jest jego redaktorem. Blat ten ma nazwę: „Oberschlesiche Rundschau“, a jest redagowanym w duchu na wskroś niemieckim. Są tam apoteozy pruskich zwycięstw nad Francyą, jest „Sedan“ wierszem i prozą, jest wieńczenie nietylko wielkich tryumfów orężnych, lecz nawet trzeciorzędnych potyczek pomyślnych dla Niemiec. „Oberschlesiche Rundschau“ zamieszcza sprawozdania nad wyraz patryotyczne z komersów niemieckich i wszelkiego rodzaju „ferajnów“, i pokazuje raz po raz wcale niedwuznacznie pazury germanizacyjne. W Nr. 37 z 14-go września r. z. znajduje się z powodu wyborów do sejmu w okręgu pszczyńsko-rybnickim charakterystyczny artykulik, który tu w dosłownem tłomaczeniu przytaczam:

„Wybór posła do sejmu z okręgu pszczyńsko-rybnickiego odbył się w czwartek w Zorach, a wynikiem jego jest, że kandydat Centrum p. rektor Latacz z Katowic otrzymał 362 głosy, kandydat Polaków pan adwokat Radwański z Pszczyny 40, pan radzca ziemiański Schröter 177. Przeszłej niedzieli odbyło się zebranie celem porozumienia się wyborców. Jak jednak dalekiem było to porozumienie, o tem niektóre gazety i świadkowie, którzy na własne uszy słyszeli i na własne oczy wszystko widzieli, donoszą. Zebranie to trafnie określono jako: „Obóz indyjski z dzikim okrzykiem wojennym!“ Przywódzcą wyborców biorących udział w tem zebraniu, rozszalałych piwem i wódką, które agitatorzy polscy z funduszów agitacyi wielkopolskiej zadarmo rozdawali, był znany tutajszy rzeźnik. Rzeźnik ten, który dawniej przy wszystkich okolicznościach i sposobnościach niemieckie mowy wygłaszał, a nawet okolicznościowe niemieckie wiersze pisywał, w wściekły sposób agitował dla Polski. Rezultatem jednak jego agitacyi było haniebne fiasko. A gdy w dniu wyborów wolność jego osobista była niepewną, opuścił Zory wraz z podobnymi mu wisielcami, aby w cichem ustroniu rozmyślać nad bohaterskiemi swojemi czynami“.

Objaśniam, że na owem zebraniu germanizator „kapelonek“ Grund chciał palnąć mówkę w niemieckim języku, a choć wyborcy, przeważnie Polacy, żądali, aby mówił po polsku, choć nawet Niemcy żądanie to poparli, on gwałtem darł się do niemieckiej mowy i doprowadził do tego, że go w niegrzeczny sposób musiano ściągnąć z mównicy. Z inicyatywy „kapelonka“ i na jego intencyę Miarka palnął tak mały artykulik. Dziki obóz indyjski, pijacy i wisielce — oto epiteta, któremi Miarka lud polski traktuje. Nienawidzi on z całej duszy „Katolika“ czycha na jego zgubę, nienawidzi „Nowin Raciborskich“ i „Gazety Opolskiej“. — Dla niego wzorem gazet jest nowo powstały organ w Królewskiej-Hucie, czyli dalszy ciąg „Kuryera górnoszląskiego“. To też zawiązało się trójprzymierze germanizatorskie: Ojciec Andrzej w Westfalii, Karol Miarka w Mikołowie i ksiądz Adolf Chytrek w Królewskiej-Hucie, a u Miarki w Mikołowie jest kuźnia spokojnej, cichej, powolnej germanizacyi.

Maksymilian Ocetkiewicz.



Wyprawa na Olymp.

Komedya fantastyczna w 1-ym akcie,

oryginalnie napisana

przez

M. Gawalewicza

(Ciąg dalszy).

Merkury: Świątynię?... No, no!... A to się Melpunia ucieszy! Nowina!... patrzcie!... Świątynie zamyślają nam znowu stawiać!...

Farsalski: Zróbże ojcze, żeby nas panna Melpomena przyjęła. (do Polipa półgłosem) Jak redaktor myślisz? Trzeba mu dać co w łapę?...

Polip: W łapę?... spróbować nigdy nie zawadzi.

Farsalski: A nuż się obrazi?

Polip: (sentencyonalnie) Obraża tylko mała łapówka.

Farsalski: (próbując Merkuremu wsunąć w rękę pieniądze) Weź-no ojcze na tabakę i zamelduj nas.

Merkury: (wzdrygając się z udaną urazą) Co?... pieniądze?... bogom mamony nie trzeba! To się daje (z pogardą) Calchasowi!

Farsalski: Nie robiłbyś ojcze kawałów.

Merkury: Mogę wziąć, ale nie jako łapówkę, tylko jako ofiarę. (bierze pieniądze) Ale za to (szuka w zanadrzu) niech śmiertelny weźmie odemnie na pamiątkę talizman (wyjmuje garść kamyków) o, to chroni od febry.

Farsalski: Cóż to takiego?... Cóż to za czopki?...

Merkury: To są pioruny Zewsa skamieniałe! Ile razy gruchnął ze złości o ziemię, to się ziemia stopiła w tem miejscu i to właśnie są takie piorunowe kamienie. Ja tego nazbierałem i sprzedaję na pamiątkę gościom, co przychodzą zwiedzać Olympijskie Muzeum. Bo ja tu jestem kustoszem. Śmiertelny wie o tem, że ja tu jestem dozórcą muz, odkąd je z Parnasu wywłaszczyli?

Farsalski: A, teraz wiem!... Toście sobie państwo Muzeum tu urządzili? Proszę, proszę!... I dużo tu przychodzi turystów?

Merkury: Od dwóch tysięcy lat pan dobrodziej pierwszy się zjawił. Ale to nic dziwnego. Za mało reklamy!...

Polip: (dosłyszawszy ostatni wyraz) Reklamy?... To moja rzecz!...

Farsalski: A, już redaktor poczuł interes!... Co to za nos!... (do Merkurego) A cóż znaczy ten napis: „Wstęp śmiertelnym wzbroniony?“ Skoro jest Muzeum...

Merkury: E, to tylko tak sobie.... *pro forma*...

Farsalski: (idąc ku pagórkowi No, to chodźmy.

Merkury: (zatrzymując go) Ee, nie!... wpierw muszę zameldować. Melpomena ma swoje fochy, gotowa się obrazić, gdyby tak niespodzianie... (wyjmując klucze z za pasa) Ja się z nią *raz rozmówię.

Polip: (podając mu niedopitą butelkę) A możebyś stary tak łyknął?...

Merkury: Co to jest?

Polip: Pilzner!...

Merkury: Pilzner?... Nie znam tego trunku.

Polip: To szlachetny trunek Gambrinusa.

Merkury: Czemuż śmiertelny odrazu nie powie, że to piwo?

SCENA IV.

Ciż i Eimer, Oczko, Filisterski i Głodysz (ukazują się z poza skały w głębi).

Eimer: (wyskakując pierwszy, okrągły, opasły, ale ruchliwy). Piwo? A jakie?... (ze śmiechem uradowany) Jak Boga kocham i tu mają piwo! Gdzie ja jestem, musi być piwo! (zbliża się) Patrzcie, moi państwo, pan dyrektor!... pan redaktor!... (kłaniając się kapeluszem słomkowym Merkuremu) Z uszanowaniem, Eimer! restaurator z pod „Ciemnej Gwiazdy!“

Oczko: (wystrojona przesadnie z parasolką czerwoną). Bon jour!... (podając rękę Farsalskiemu) Witam dyrektora!... (do Polipa) Jak się masz redaktorku!... Kochasz Pimpcię?... (nadstawia mu buziaka z udaną naiwnością).

Głodysz: (deklamatorskim tonem). Czołem!... pozdrowienie bogom!... (rozgląda się) Jesteśmy tedy na Olympie!...

Eimer: (spostrzegając napis nad kolumnadą „Olymp!“ do Polipa) Patrz-no redaktor! toby była dobra firma na restauracyę! Jak Boga kocham, jest myśl!... Olymp!... co?.., to lepsze od „Ciemnej gwiazdy“. Ciekawy jestem, co oni za lokal płacą?

Filisterski: (w nankinach, z pledem

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Broszura Piotra Stromy. Broszurze Piotra Stromy p. t. „Program Przeglądu Poznańskiego", omówionej przez nas w Nr. 21. poświęca „Przegląd Wszechpolski" następujące uwagi:

„Broszura poruszyła trochę naszą inteligencyę i wywołała nawet artykuły polemiczne w pismach. „Dziennik", zbijając wywody p. Stromy, ani słówkiem nie wspomniał, że broszura wymierzona jest przeciw „Przeglądowi" i czytelnik z artykułu wynosi przekonanie o zgodności poglądów autora broszury z poglądami organu „Młodej Polski". P. Stroma należy do doktrynerów, którzy nie liczą się prawie wcale z warunkami rzeczywistości i obok wielu trafnych uwag, wygłasza nieraz zdania, że tak powiem, studenckie. Napadania na pismo, które jest u nas jedynym organem inteligencyi postępowej i demokratycznej, w chwili, kiedy boryka się ono z rozmaitemi przeszkodami — nie można uważać za taktykę właściwą. Nawet słuszne zarzuty lepiej było na inny czas schować, niby na tem poglądy autora nie straciły, gdyby się trochę odleżały".

* *
*

Pan Jaworski a pan Kulerski. W „Orędowniku" (Nr. 131.) czytamy:

„Centralny komitet wyborczy na Prusy Zachodnie i Warmię ogłasza urzędownie p. Juliana Sasa Jaworskiego jako kandydata do parlamentu, na którego wyborcy okręgu świeckiego mają oddać swe głosy w dniu 26 czerwca.

Skoro już wyborcy mają głosować na tego kandydata, niech przynajmniej Prusy Zachodnie z ostatniego doświadczenia czerpią naukę: jak sobie dobierać kandydatów i czego od nich obecnie żądać. Z nauki tej mogą zaraz zrobić użytek przy blizkich wyborach do sejmu pruskiego w okręgu starogardzko-tczewsko-kościerskim.

Pan Julian Jaworski, kandydat na okręg świecki, odmawia p. Kulerskiemu, redaktorowi „Gazety Grudz." prawa, aby się rozpisywał o nim, jak to w swej gazecie uczynił: że nie należy do tak zwanych ugodowców.

Pan Jaworski oświadcza, że nie należy do żadnej partyi, że nie pozwoli sobie narzucać żadnej partyi; że nie chce znać żadnej partyi w społeczeństwie polskiem; że sztucznie wywoływane stronnictwa polityczne zagrażają u nas solidarności; (??) a więc są — zgubne! — że jego polityka w Kole będzie — „jedynie polska!" (?!?)

Dalej pisze p.Jaworski o swem pochodzeniu szlacheckiem i osobistem zapatrywaniu na socyalne różnice poszczególnych obywateli. Ten ustęp jest spokojnie, a nawet bardzo rozsądnie napisany. Możnaby się z powodu tego rozprawić z p. Jaworskim zupełnie objektywnie. Na niby się to jednak nie zdało, bo przyjaciele polityczni p. Jaworskiego, którzy go wyforytowali na kandydata w okręgu świeckim, występują w swej prasie pod względem formy jako ordynaryusze najprostszego kalibru, a pod względem zmysłu i rozumienia politycznego jako proste niezdary. Biją ciągle — i to na pateli stawiają, żeby każdy podziwiał — w jakiś rozum polityczny i pieniądz. A u nich pieniędzy mało i coraz mnie; a rozumu politycznego ani szczypty.

Dowód na świeższy: znęcanie się po wielu organach partyi dworskiej nad redaktorem „Gazety Grudziądzkiej", p. Kulerskim — za to, że ktoś śmiał wymienić nazwisko jego na kandydata!

Solidarność, zgoda, jedność, a nawet miłość bliźniego panują u nas tak długo, dopóki wyborcy i redaktorzy trzepią płaszcze kandydackie; ale jak któremu z nich ktoś ten płaszcz zarzuci na ramiona, wtedy najemnicy partyi dworskiej wyzywają, lżą i krzyczą w niebogłosy, że się rwie solidarność, że się wali sprawa narodowa.

Nie piszemy tego ani dla p. Jaworskiego, ani dla jego przyjaciół, bo ci pisma naszego nie znają, ale dla Was, Szanowni Czytelnicy, tak w Księstwie, jak w Prusach, żeby ruch ludowy szedł ławą i zabierał zwolna wszystko z sobą i niewolił nawet przeciwników do takich deklaracyi, jaką musiał zdać p. Parczewski w Świeciu: że spadają na naród czasy takie, iż lud polski musi sam sobą politycznie rządzić i kierować.

Pan Jaworski nie jest stosowny kandydat ani dla ruchu ludowego, ani nawet na obecną mocno zawikłaną sytuacyą. Sądząc po tem, co w Świeciu powiedział i co w „Gaz. Grudziądzkiej" napisał, w najlepszym razie może posłużyć partyi dworskiej za pożądany materyał.

Kandydat, który w obecnej chwili prawi jeszcze publicznie, że nie chce znać żadnej partyi, że stronnictwa polityczne, zagrażające solidarności, uważa za zgubne, — ten albo przespał ostatnie lat sześć, albo w tym czasie był za granicą i sprawa narodowa ani go nie ziębiła, ani parzyła; albo też — jeżeli był w kraju i patrzał na to, co się działo i dzieje, udaje przed wyborcami, że o niczem nic nie wie...

Głównem zadaniem całego naszego narodu winno być, by jak najspieszniej z mas ludu wyprowadzić jak najwięcej ludzi w szeregi obywateli politycznie myślących i działających.

Najbliższym zaś i chwilowym celem powinno być rozsadzenie obecnego składu obu Kół polskich.

To jest conditio sine qua non, jeżeli naród polski w zaborze pruskim ma zachować swą samoistność narodową.

Dla tego nie należy przypuszczać nikogo na kandydata, kto nie zdeklaruje się publicznie, że jest zasadniczym przeciwnikiem polityki partyi dworskiej.

Wyborcy w Prusach Zachodnich umieją nogami pracować dla sprawy narodowej, ale jeszcze nie głową. Takich jak p. Kulerski, jest tam bardzo mało obywateli i jeszcze żaden z nich ust nie umie otworzyć.

Gdyby to umieli, możeby kandydat świecki jeszcze w ostatnich dniach ściślej sformułował swe stanowisko polityczne. Lepiejby nawet było, żeby się wprost przyznał do partyi dworskiej, bo wtedy wiedziałby nietylko Świeć, ale cały naród: kto z Świecia jedzie do Berlina".

* * *

W sprawie zlotu wszechsokolskiego w Poznaniu. Głośnemu rozporządzeniu policyi poznańskiej, wydanemu w sprawie zlotu sokolskiego w Poznaniu poświęcają wszystkie pisma pruskiego i austryackiego zaboru dłuższe artykuły. Z uwag „Nowej Reformy" cytujemy wstęp następujący:

„Rozpoczęta przez naszych przeciwników gra jest bardzo niebezpieczna. Polaków nie wymażą oni z rzędu narodów żyjących; na to ich ręka jest zaw-

---

w torebce podróżnej, z lornetką w ręce, lornetuje okolicę i odczytuje napisy). „Uprasza się, bogiń, ani niczego nie dotykać". Głupi zakaz!... Oni tu zbankrutują przy takich rozporządzeniach. (do Oczkówny) Prawda?

Oczko: (z grymasem). Muszą być chude te boginie... jabym się tu nie zaangażowała. (Do Filisterskiego z tą samą miną, co poprzednio) Filisterski, kochasz Pimpcię?.. to masz buzi!... (kiedy ją Filisterski chce pocałować, usuwa się nagle). Obejdź się smakiem!...

Filisterski: A pani mi obiecała, że kiedy będziemy na Olympie...

Oczko: Mogę panu jeszcze co obiecać, ale obiecanka cacanka...

Filisterski: (z czułem westchnieniem). A mnie radość!

Merkury: (na stopniach wiodących do portyku). Czy... czy śmiertelni chcą obejrzeć muzeum, czy też co innego?...

Głodysz: My w deputacyi!...

Oczko: Z wyjątkiem mnie, bo ja tylko *pour plaisir* z tymi panami.

Eimer: A ja z geschäftem!... ja, jak w dym do pani Melpomeny! Potrzebuje się widzieć natychmiast. Proszę mnie pierwszego wpuścić!.., Z uszanowaniem, Eimer!... Eimer, restaurator z pod „Ciemnej gwiazdy".

Merkury: Kiedy bo tu już inny śmiertelny... (zakłopotany) Ja tego... kto pierwszy, ten lepszy!...

Farsalski: Jest racya!... ja tu byłem pierwszy. Nie stawiaj się pan, panie Eimer!

Eimer: Ale ja przychodzę z propozycyą, z ważną propozycyą. Pan dyrektor może sobie potem...

Farsalski: A kiedy mi się podoba przedtem.

Eimer: To i mnie.

Farsalski: (zirytowany) Gargociarz!...

Eimer: Co?... co ja jestem?... powtórz pan!.. Proszę nie zapominać, żeś mi pan jeszcze winien za ostatnią kolacyę rubla trzydzieści kop!... (wyliczając) Wódeczka zakąska, zrazy Nalesońskie, cztery piwa...

Głodysz: (rozdzielając ich). Pssst!.. Silentium! Nie zapominajcież panowie gdzie jesteśmy. Z uszanowaniem!...

Eimer: (instynktownie się kłaniając). Eimer!... (spostrzegając się) Te... bo jakże?... kiedy mi kto psuje interes... Zrobiłem taki kawał drogi... To panie o gruby grosz chodzi!...

Polip: (zacierając ręce). Awanturka!... doskonale!... będzie o czem napisać ze trzydzieści wierszy burgosu!

Filisterski: Ja panów pogodzę, ja reprezentant publiczności, od której panowie obaj zależycie. Więc tedy, panie Eimer, co za interes pan masz na Olympie?... może pan tu chcesz bufet założyć?

Eimer: No, tymczasem nie pomyślałem jeszcze o tem. Ale ja się wybrałem zaangażować panią Melpomenę pod „Ciemną gwiazdę". Panowie goście mnie do tego namówili i panowie z prasy także. O, pan Polip mógłby o tem zaświadczyć!... Ogródek jest, scena jest, piwo antałkowe jest, interes gotów! Niech się pani Melpomena tylko zgodzi wejść do spółki z Eimerem na lato, nie pożałuje tego. „Ojoj."

Głodysz: (z ironią). Sztuka i piwo!... (pogardliwie) Panie Eimer, jesteś czop do beczki, jeśli sztukę traktujesz, jak butersznyty. Profan!...

Eimer: Przepraszam bardzo, ja jestem stary praktyk, ja się znam na tem. Sztuka!... wielka mi rzecz!... Sztuka jest, jak sztukamięs, panie; zaraz lepiej smakuje, kiedy ją się piwem podlewa. To panie faramuszki wszystko, co panowie o sztuce gadacie. Żeby nie antrakty, coby dla mnie warta była cała sztuka!... To panie, trzeba rzeczy brać praktycznie, o!... interes grunt!

Farsalski: No, to ja panu radzę, abyś swoim kosztem powracał, zkąd przybyłeś. Z tej beczki nawet nie zaczynaj.

Eimer: (urażony), E, mój panie, co mi pan będziesz od beczek wymyślał!... ja ich więcej naszpundowałem, niż pan masz włosów na głowie.

Głodysz: (pogardliwie). Czop!...

Eimer: (w pasyi). Wymawiam panu kredyt!...

Głodysz: A ja panu zabraniam odzywać się do mnie. Pan wiesz, kto ja jestem?.. ja jestem artysta!... Z uszanowaniem!...

Eimer: (instynktownie, znowu się schylając). Eimer.

Farsalski: Co tam będziemy słuchać takiego gargociarza! (do Merkurego) Niechno ojciec mnie zameldnje pannie Melpomenie.

Głodysz: Mnie również!

Filisterski: I mnie!

Polip: A dla mnie maleńki interview wyrób stary!

Oczko: To i mnie! niech stracę! Po-

sze za słaba. Natomiast zasiew narodowej nienawiści wyda plon stokrotny, który może ogromem przerość nadzieje swoich siewców i wyjść na korzyść gnębionej dzisiaj narodowości.

„My tutaj w Galicyi musimy ostatecznie raz na seryo pomyśleć o tem, aby ani jeden halerz od nas nie dostawał się do kieszeni Niemców pruskich. Przemysł w Austro-Węgrzech, a wreszcie w innych państwach niemieckich, stanął na tym stopniu rozwoju, że zarówno w handlowych jak przemysłowych interesach, możemy bezpiecznie zerwać wszelkie stosunki z Niemcami pruskimi.

„Do kwestyi tej powrócimy jeszcze; na razie sądzimy, że delegaci nasi powinni pomimo tego jechać na zlot „Sokołów“ do Poznania. Cóż im się stać może? Stoją ostatecznie pod ochroną swego państwa; jeżeli policya każe im wyjeżdżać z Poznania, to naturalnie rozkazu usłuchać muszą, ale wtedy będziemy także wiedzieli, jak to postąpienie rządu pruskiego ocenić“.

W tej samej sprawie zabiera głos „Słowo polskie“ i cytując uwagi „Dziennika Pozn.“ wyrażające nadzieję, że władze policyjne cofną rozporządzenie swoje, tak pisze:

„Co do nas, wnosząc z dotychczasowego postępowania rządu pruskiego, nie podzielamy optymistycznych nadziei „Dzien. Pozn.“ Rozporządzenie Nathusiusa nie jest bynajmniej odosobnionem; jest ono wynikiem systemu, kultywowanego z całą możliwą energią i konsekwencyą.

Ci, którzy kiedykolwiek marzyli, iż pod berłem Niemiec zaświtać może lepsza Polakom przyszłość, otrzeźwią się może teraz. Poczucie sprawiedliwości, którego fama — Bóg wie, zkąd — przylgnęło do Niemiec, dostało obelżywy policzek. Polacy poznańscy mieli już czas otrzaskać się z ową dziwną sprawiedliwością, która nawet na czarne policzki Hotentotów wywołaćby musiała rumieniec zawstydzenia; nie pozostaje naszym braciom nic innego, jak połknąć i tę gorzką pigułkę, ale czy takie postępowanie wyjdzie Niemcom na zdrowie — to pokazać może tylko przyszłość, kto wie, czy jeszcze ciągle bardzo daleka“.

— *ski.*





Dziennikarstwo w Anglii.

I.

Od wieku z góry stanowi prasa jeden z najważniejszych czynników w społecznym i politycznym organizmie Anglii. Nie tylko ona sama zajęła stanowisko powszechnie uznanej instytucyi, ale udziela ona także wszystkim innym instytucyom swego kraju najskuteczniejszej opieki. „Zastanawiając się nad tem — mówi Montelembert w swem dziele „Polityczna przyszłość Anglii“ — co właściwie głównem jest kołem społecznego mechanizmu, stanowiącem najskuteczniejszą gwarancyę posiadania i zachowania tylu starych i nowszych praw i zdobyczy — to odpowiedzieć wypadnie, że kołem tem jest publicystyka“. W żadnym kraju świata naród od warstw najwyższych do najniższych nie czyta tyle gazet, przeglądów i książek, co w Anglii, ale też w żadnym kraju prasa nie jest tak dobrze informowaną, szczerą i przyzwoitą jak w Anglii. Dzienniki i książki stanowią dla każdej warstwy i każdego wieku ludności pierwszy i najważniejszy środek wykształcenia. Anglik czyta przez całe swoje życie, nie dla zabawy, ale nawet po opuszczeniu szkoły w pierwszej linii celem uczenia się. Wychodzi bowiem ze słusznej zasady, że człowiek nigdy nie może nabyć dosyć wiedzy.

Wpływ prasy na naród angielski był w ciągu bieżącego wieku olbrzymi i nadzwyczaj błogi w swych skutkach. Już w 1831 roku oświadczył lord Lyndhurst do Greville'a: „Zaiste, Barnes jest najpotężniejszym człowiekiem w całej Anglii!“ Barnes był wówczas naczelnym redaktorem „Timesa“. A o całej ówczesnej postawie angielskiej prasy posiadamy powołany sąd w krytyce „Westminster Review“, w której czytamy pomiędzy innemi: „Tendencye prasy angielskiej skierowane były na dobro ogółu, i dziennikarstwo oddało swój wpływ na usługi mądrości, cnoty i prawdy“.“ A w 60 lat później prasa angielska doznała nie mniej cennej i pochlebnej oceny ze strony lorda Rosebery'ego, a więc męża stanu, którego szczerość i inteligencya nie ulegają najmniejszej wątpliwości: „Prasa tego kraju — mówił b. prezes angielskiego gabinetu — kieruje naszymi mężami stanu i przedstawia im życzenia i idee narodu. Gdyby prasa nie spełniała dwóch tych funkcyi, nie zasługiwałaby też na oddawany jej przez nas hołd i szacunek. Hasło naszych dziennikarzy mogłoby brzmieć: „Be just and fear not“ (sprawiedliwy i bez obawy!) bo jedynie dzięki swej sprawiedliwości i swej odwadze prasa angielska wyniosła się po nad dziennikarstwo wszystkich innych krajów.“

Jeźli już w r. 1831 Barnes uchodził za najpotężniejszego człowieka w Zjednoczonym Królestwie, to cóż dopiero mówić dzisiaj o dyrektorach albo naczelnych redaktorach pięciu czy sześciu wielkich dzienników londyńskich?

Więzy, które krępowały niegdyś prasę angielską dzisiaj w zupełności zostały zerwane. W roku 1836 obniżono podatek od dzienników z 4 pensów na 1 pensa; w roku 1851 zniesiono podatek od ogłoszeń, w roku 1855 zniknął podatek od gazet w zupełności, a w r. 1861 i podatek od papieru używanego na dzienniki. Oprócz tego zwiększyły się w olbrzymi sposób środki techniczne, wszelkie siły ducha i kapitału w ruch puszczono, tak że dzisiaj słusznie „Times“ po trzy pensy, albo dzienniki po pensie jak „Standard“, „Daily News“ i inne nazwać można „najdoskonalszym i najbardziej zdumiewającym wytworem ludzkiej działalności, informującym nas o wszelkim postępie i będącym jednocześnie niejako wynikiem wszelkich odkryć i wynalazków“.

W roku 1846 pojawił się pierwszy wielki dziennik pensowy, „Daily News“ i od tej

---

znam się raz z prawdziwą muzą. To musi być ciekawa facetka. Zresztą, myśmy przecież skuzynowane. Grałam w „Orfeuszu“, pamiętasz dyrektorku?.. zrobiłam furorę w kankanie!...

Merkury: Zaraz... zaraz zamelduję, tylko sobie nazwiska spamiętam.

Farsalski: To zbyteczne!... Oto moja kartka (daje mu bilet wizytowy).

Polip: (dając także swój bilet). A to moja.

Filisterski: (podobnie). I moja.

Oczko: (do Filisterskiego). Połóż pan i mnie na swoim bilecie.

Filisterski: Całą?... To byłoby trochę trudno.

Oczko: Ee, głupie żarty!

Eimer: [szukając po kieszeniach]. Żebym miał gdzie kawałek papieru.. [przypominając sobie] Ale!... [wyciąga z kieszeni butelkę piwa] Mam tu coś lepszego! [pokazując na etykietę] „Piwo gwiaździste z zakładu F. F. Eimera w Warszawie“. To moja karta wizytowa [podając Merkuremu butelkę]. Proszę to pokazać pannie Melpomenie i powiedzieć, że odemnie [n. s.] Zasypałem ich!...

Polip: [odbierając mu skwapliwie butelkę]. A masz pan konsens na wyszynk na Olympie?... Aha!... konfiskujemy!

Eimer: Cóż to znowu?... napaść na gładkiej drodze?!... Pan redaktor...

Polip: [kończąc]. To piwo sam zreferuje [chowa butelkę do kieszeni].

Merkury: [zabrawszy karty wizytowe, idzie pod portyk, otwiera kłódkę przy kratach i mówi]. A to się do naszej Melpuni dobijają!... Ho, ho!... świetne czasy dla Olympu wracają.

SCENA V.

Ciż i Nimfa służebna (z amforą na ramieniu).

Nimfa: (do Merkurego) Mleko niosę dla bogiń

Merkury: (zatrzymując się przy wyjściu): Mleko?... pokaż! (odbierając amforę, zrzędliwie). O, o!... a kto wam pozwolił brać to naczynie? Jeszcze czego! Będziecie mi tu gospodarować, jak szare gęsi. Amfora po ambrozyi do mleka — także! Jeszcze mi się stłucze, a to ostatnia z Zewsowego kredensu (zabiera amforę i chce odejść z nią, mrucząc).

Nimfa: Euterpe tak kazała (chce wracać na lewo).

Filisterski: (zachodzi jej drogę) Pardon! chwileczkę!...

Eimer: (z drugiej strony przyglądając jej się z zajęciem) Patrzajcie państwo, fest panna!... Oni tu mają ładne dziewczęta na tym Olympie! (klepie ją po ramieniu) A jak zbudowana!...

Filisterski: (nadskakując, głaszcze ją pod brodę) Ananasik!...

Oczko: (odciągając go za rękaw) No, no, tylko proszę mi się nie sprzeniewierzać.

Merkury: (rozgniewany) Nie dotykać!... nie dotykać!.. Co to jest!... (schodzi ze stopni).

Farsalski: Możeby ją zaangażować?... (do Polipa). Jak redaktor myślisz?... Ma kształty — musi mieć talent.

Polip: Warta poparcia prasy!... Co za plecy, pi, pi! (otaczają Nimfę i przyglądają się jej).

Filisterski: (obejmując ją wpół) Możeby tak na kolacyjkę.. jestem miłośnikiem sztuki i protektorem piękna.

Merkury: (j. w.) Nie dotykać!... A to co znowu!... Nie czytali śmiertelni? (do Nimfy, którą uwalnia z rąk Filisterskiego). Wynoś mi się zaraz!

Farsalski: (do Merkurego) Powiedzno ojciec, kto to taki? Dałbym jej gaży piętnaście rubli i..

Merkury: E, to sobie nimfa taka czwartej klasy! popychadło!... ale dotykać nie wolno. (do Nimfy) Jeszcześ tu?... (stuka kulą o ziemię) Marsz do groty, kozy pilnować!...

Nimfa: (robi oko Filisterskiemu i Farsalskiemu, odchodząc) Bardzo mili ludzie, ci śmiertelni!... Mężczyźni spoglądają na nią pożądliwie i kłaniają się z uśmiechem).

Filisterski: Au revoire!... Cukiereczek!...

Oczko: która mu zastąpiła drogę, mizdrząc się do niego) Kochasz Pimpcię?...

Filisterski: Kocham, ale tam na ziemi.

Merkury: Niechże śmiertelni zaczekają, ja tu zaraz wrócę. Tylko proszę się grzecznie zachowywać i kamyków nie zbierać na pamiątkę, bo się Olymp niszczy! (wychodzi po stopniach, kulejąc).

(Ciąg dalszy nastąpi.)



chwili datuje się okres tanich dzienników. W samym Londynie wychodzi pół tuzina takich wielkich. tanich dzienników porannych, posiadających nie tylko w Anglii, ale w całym cywilizowanym świecie swych czytelników. Kapitał złożony w tych przedsiębiorstwach dziennikarskich jest olbrzymi i dzięki tej trwałej kupieckiej podstawie bez obawy spoglądać one mogą na współzawodnictwo innych tego rodzaju przedsiębiorstw. Przewaga ta nie wielkiej liczby, lecz wielkich dzienników, dostępnych wskutek swej taniości i dla uboższych warstw ludności angielskiej, ocaliła Anglię przed pojawiającą się w innych krajach powodzią drobnych, szybko znikających, a pozbawionych zwykle wszelkiej wartości pisemek. Za dziesięć fenigów otrzymuje Anglik co rano osiem stronnic wprawdzie ścisłego, lecz mimo to czystego i wyraźnego druku na dobrym papierze, informujących go o wszystkiem, co w ubiegłej dobie przyniósł drut telegraficzny z najodleglejszych części całego świata. Spotykamy tam polityczne, literackie, handlowe, finansowe, przemysłowe wiadomości, informacye o żegludze, koloniach itp. i to gruntownie opracowane, dobrze ułożone i w razie potrzeby zaopatrzone w należyte komentarze. Ale nawet przy 300,000 abonentów, którymi cieszy się np. „Standard“, dochód z abonamentu i sprzedaży pojedyńczych numerów ani w przybliżeniu nie wystarczyłby na pokrycie kosztów wydawania takiego dziennika. Pomijając bowiem koszta redakcyi, używany bywa jedynie najlepszy papier i najlepsza farba drukarska, składanie odbywa się z drobiazgową starannością, a do tego dochodzą jeszcze koszta dostawiania gotowego dziennika abonentom i innym czytelnikom, odbywającego się w specyalnych pociągach, które już o godzinie 4 rano wilgotne jeszcze arkusze z błyskawiczną szybkością zawożą do najodleglejszych zakątków całej Anglii.

Wszystkie więc te dzienniki utrzymują się prawie wyłącznie z nadzwyczaj rozpowszechnionych w Anglii ogłoszeń. Właściwe wiadomości bieżącej chwili, artykuły wstępne i feljetony, stanowią jedynie rdzeń dziennika. Gdy jednak zwykle rdzeń stanowi także najcenniejszą część danego przedmiotu, to tutaj dzieje się odwrotnie, przynajmniej jeśli zapatrywać się będziemy na takie przedsiębiorstwo dziennikarskie z kupieckiego punktu widzenia. Cztery stronnice artykułów wstępnych (leaders) i depesz otoczone są taką samą, lub większą liczbą kolumn, zapełnionych inseratami. Spotykamy tam ogłoszenia narodzeń, ślubów i śmierci, polecenia hoteli, podaż i popyt mieszkań, ogłoszenia i reklamy, odnoszące się do wystaw, podróży, teatrów, zakładów wychowawczych, wyścigów, sprzedaży i kupna, inseraty sądowe i urzędowe, wiadomości handlowe wszelkiego rodzaju, ubezpieczenia, poszukiwania posad, słowem cały odrębny świat, olbrzymie targowisko, na którem wszystkiego szukać i wszystko znaleźć można, i to tem łatwiej, że w dziennikach angielskich każdy oddział ogłoszeń posiada specyalną swoją rubrykę.

Swoją drogą drobiazgowe względy kupieckie odgrywać nie mogą w wielkich dziennikach angielskich żadnej roli, jeśli się zważy, że budżet roczny wydatków wielkiego londyńskiego dziennika pensowego (Standarda) wynosił 5 i pół miliona marek, przy czystym zysku 1,200,000 marek. Koszta dziennie wykazywały sumę 17,500 marek, a codzienny zysk czysty 4000 marek.

Myliłby się jednak bardzo, ktoby sądził, że niezwykłe znaczenie, jakie zdobyły sobie dzienniki nietylko w Anglii, ale w ogóle w całym cywilizacyjnym świecie, jest b e z p o ś r e d n i e m następstwem olbrzymich kapitałów, złożonych w tych przedsiębiorstwach. Nie masy te pieniędzy, uwięzione w gruntach, w gotówce, w drukarniach i wszystkiego rodzaju zakładach, należących do pojedyńczych dzienników, stanowią główną podstawę majątku tych organów, lecz jedynie większa lub mniejsza ich poczytność, ich rozprzestrzenienie po wszystkich krajach, w których mówią lub rozumieją po angielsku, ich powaga i znaczenie. Właśnie ta poczytność stanowi towar, za który inserująca publiczność płaci drogo lecz chętnie, ponieważ każdy inserujący wie dobrze, że jego ogłoszenie czytane będzie przez setki tysięcy osób.

Ponieważ zaś wielkie dzienniki angielskie prawie wyłącznie z dochodu z ogłoszeń czerpią całą swą siłę żywotną i swój zysk czysty, przeto zacięte współzawodnictwo zmusiło te organa opinii publicznej do zwracania głównej swej uwagi na rozszerzenie zakresu swych czytelników. Nie było to jednak łatwem zadaniem, jeśli się zważy, że czytelnik angielski stawia do swego dziennika zupełnie inne wymagania, niż to czyni, nie mówiąc już o naszym, niemiecki, francuzki lub włoski abonent. Wskutek ogromnych swych posiadłości kolonialnych, naród angielski na wszystkich prawie punktach świata zmuszony jest bronić swych interesów, ponieważ zaś wielkie te pisma przedewszystkiem dążą do służenia ogólnemu dobru swego narodu, a nie ograniczają się, jak dzienniki stałego lądu Europy na pewnem ściśle ograniczonem kole czytelników, lub na pewnych warstwach ludności, przeto przy wyborze i zestawianiu swego materyału kierować się muszą najobszerniejszemi i najrozmaitszemi względami, służyć muszą tak samo interesom milionera i wielkiego kupca, domagającego się informacyi o położeniu handlowem w Azyi, Ameryce, Afryce lub Australii, jak potrzebom i wymaganiom najuboższego robotnika, który często z największym wysiłkiem oszczędza codziennie pensa na swój dziennik.

X



Lojalne idyotyzmy.

(Artykuł niniejszy jest uzupełnieniem notatki, poświęconej tej samej kwestyi w jednym z dawniejszych numerów).

Sobiesław hr. Mieroszewski wydał niedawno broszurkę p. t. „W sprawie reformy dziennikarstwa“. Jest ona bardzo ciekawą — nie ze względu na głębokość myśli autora, słuszność diagnozy choroby i rad podanych, lecz jako objaw dziwacznej reakcyi i chorobliwego lojalizmu austryackiego, który wszystkie ważne sprawy publiczne mierzy własnym łokciem.

Krytyka dziennikarstwa galicyjskiego w wielu razach jest słuszna. Wypadła ona bardzo ujemnie, ale trzeba dodać, że są to poglądy już wypowiedziane dawno, nie są przeto bynajmniej wynikiem pracy p. Mieroszewskiego. On ze swej strony dużo domieszał do tych poglądów pretensyi osobistych, gdyż trzeba wiedzieć, że gdy przed kilku laty ogłoszono konkurs na dyrekcyę teatru krakowskiego, pan hrabia wystąpił z kandydaturą. Nie posiadał wszakże żadnych przymiotów po temu — oprócz prywatnego wspierania (jak powiadano) kształcących się artystek. Ważniejszą rzeczą było, że nie posiadał odpowiedniego funduszu — w gotówce. Wówczas prasa zawiniła niedyskrecyą względem p. Mieroszewskiego — i ztąd podobno źródło gniewu wypłynęło.

Do osobistych pobudek przyłączyły się także przekonania i poglądy społeczne, polityczne, a poniekąd i filozoficzne hrabiego. Wrzuciwszy to wszystko do lojalnego kociołka, zmieszał on razem i ulepił z tego broszurkę — szczyt ciekawości.

Mocno zmartwiony tem, że istnieją złe dzienniki i złe książki w Galicyi — on sam smakuje w fabrykatach francuskich, — a tem bardziej, że to wszystko przedostaje się do szerokich kół czytelników, „wytwarza filozofów, niedowiarków i socyalistów“ — szuka na to lekarstwa. Pan hrabia proteguje wprawdzie sztukę, a nawet artystki (byle ładne), ale filozofią się brzydzi. Autor nietylko sam gotówby klasyfikować „książki i gazetki“, jak u siebie klasyfikuje zapewne owce i barany, ale każdą pracę publiczną, jej cele, zadania, pożytek — wszystko przymierzyć do korzyści, jakie przynosi dla stronnictwa stańczykowskiego Chłop na to, według pojęcia takich panów. stworzony, ażeby pracował — dla nich. Wszystko, co tylko sprzeciwia się interesom „własnej strzechy“, — jest złem.

P. Mieroszewski jest tak dalece zwolennikiem „ładu i porządku“, że radby je zaprowadzić i w dziennikarstwie.

„Ażeby podnieść się moralnie“ — powiada — należy zreformować dziennikarstwa, zaprosiwszy do tego dzieła rząd z Wiednia.

Ideałem jego reformy jest — któżby się domyślał! — ograniczenie ilości dzienników. Skasować lub uniemożebnić istnienie takim, które się nie podobają p. hrabiemu, a utrwalić byt tych, które się podobają. Po za tem ukrywa on skromnie jedyną myśl „zdrową“, która w jego broszurze przegląda: że radby sam stanąć na czele takiego dziennika, byle pensya była stosowną do tytułu i godności.

W celu także zreformowania dziennikarstwa p. hrabia radzi: upaństwowienie ogłoszeń i odebranie ich dziennikom drugo- i trzeciorzędnym. „Istnienie dzienników politycznych drugo- i trzeciorzędnych, oparte na inseratach — powiada hrabia — jest wręcz przeciwne interesom społeczeństwa i państwa, bo inseraty są niejako subwencyą, którą społeczeństwo daje — w tym wypadku nieprzyjaciołom porządku społecznego. Inseraty powinno państwo przyznawać tylko organom swoim, rządowym i tylko j a k o t a k i e — ulubione słówka galicyjskie — można je wogóle przy dziennikach pojmować“.

Pan hrabia nie myśli wcale poprzestać na uszczupleniu materyalnych środków dziennika; pragnie jeszcze „obostrzenia ustawy prasowej w tym zakresie głównie, aby dziennik wpierw przeszedł przez ręce radzców z Namiestnictwa, a następnie dopiero mógł być rozesłanym i rozdawanym publiczności“. Dotychczas istnieją tylko kary za pewne przekroczenia prasowe i niszczenie nakładu dziennika, pan hrabia żąda jeszcze wstrzymania wydawnictwa „na 3 dni, 5, tydzień, miesiąc, co do poczytności pisma politycznego (nie lubionego przez hrabiego) z pewnością się nie przyczyni“. Jest on przekonania, że taka, jakiej żąda, ustawa prasowa będzie dopiero rękojmią „zdrowego postępu i prawdziwej wolności“ i da zupełną gwarancyę „utrzymania równowagi społecznej“.

Pomijając rozumowania tego dziwnego okazu. reformatora, przechodzę do dalszych rad w celu „utrzymania porządku społecznego“. Stempel, obecnie istniejący, po cencie od numeru, wydaje mu się za nizkim, żąda więc zwiększenia go do dwóch i przywrócenia niedawno skasowanej kaucyi. W celu ułatwienia rządowi austryackiemu kontroli nad wychodzącemi dziennikami, książkami, drukami itp. należy, według jego projektu, znieść wszelkie prywatne drukarnie, a pozostawić tylko rządowe i j a k o t a k i e uniwersyteckie“. Od tego krok jeden — do upaństwowienia drukarń. „Drukarnie powinny się znajdować pod ścisłą kontrolą władz rządowych i mogłyby drukować tylko

to, coby uzyskało pozwolenie z Wiednia, Krakowa lub Lwowa“.

„Ażeby zapewnić społeczeństwu spokojny rozwój umysłowy i umożebnić z d r o w y (koniecznie) postęp“, p. hrabia wiele nie żąda: oto, ażeby w każdym (kraju świata? autor nie określa bliżej tego pojęcia) były wydawane tylko dwa dzienniki polityczne: Najchętniej widziałby tylko jeden — „Rządowy dziennik polityczny“, a drugi — „Dziennik krajowy“ „autonomiczny“, pod kontrolą reprezentacyi kraju, tj. wydziału krajowego“. Przy tem piśmie, jako dodatek niedzielny, wydawanoby dla gmin w formie tygodnika, streszczający wiadomości polityczne, a podający w sposób przystępny różne artykuły z rolnictwa i przemysłu.

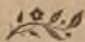
Pan hrabia, wszakże hołdując systematowi ekonomicznemu p. Dunajewskiego, żąda drobnej kwoty od wszystkich płacących podatki, nie wykluczając naturalnie nie umiejących czytać, na utrzymanie dziennika krajowego i jego kierowników, wstydzących się żebrać.

„Tendencya obu pism — austryackiego i krajowego — byłaby otwartą, rozumną i społecznie z d r o w ą,“ a redaktorem odpowiedzialnym byłby naczelnik władzy rządowej: starosta, delegat namiestnictwa, wiceprezydent i ten odpowiedziałby przed naczelną władzą państwa za kierunek pisma.“

Wówczas dopiero nieszczęsna dzisiejsza Galicya przeobraziłaby się w Arkadyę, gdzie wilcy paśliby jagnięta.

Jeszcze jedno curiozum. Pismo oprócz papieru, atramentu, stempli, kaucyi i z d r o w e g o kierunku potrzebuje także współpracowników. Zkąd ich dostać i jakimi oni być mają? Pan hrabia i tu sobie poradził. Na razie trzeba byłoby zadowolić się skupieniem ludzi „luzem chodzących,“ ale potem — przepraszam! Nie wolno pisać byle komu! P. hrabia radzi zorganizować komisyę egzaminacyjną, któraby brała na pytki pana brata literata lub publicystę i ona dopiero zawyrokowałaby—o wszystkiem. Taka komisya nadałaby z pewnością p. hrabiemu tytuł: „c. k. redaktor uprzywilejowanego dziennika rządowego austryackiego politycznego.“ Wówczas w areopagu sędziów zasiędą łysi radcowie — namiestnictwa, sądu, skarbu, oni wydadzą wyrok, czy jesteś lub nie uczciwym, czy twoja długoletnia nauka coś warta, czy znasz kraj i jego potrzeby, wreszcie czy posiadasz talent literacki lub poetycki!

S. W.





Kartki paryzkie.

(Jasnowidząca z ulicy Paradis. — Cudotwórca Vignes z gór ceweńskich. — Wspomnienie pozgonne profesora Feliksa Lejarsa o Teichmanie. — Teza panny Złotowskiej o zastosowaniu seroterapii w szpitalach francuskich.)

Rue de Paradis — ulica rajska — od jakiegoś czasu w zupełności zasługuje na swą nazwę. Zdaniem łatwowiernych tłumów osiadł bowiem na niej w domu i, co więcej w osobie Henryki Couédon, archanioł Gabryel. Życzliwi reporterzy otrąbili urbi et orbi, jaką specyalność wybrał, a najlepsza stręczycielka: głupota ludzka, ze wszystkich krańców Paryża i Francyi przywiodła mu chciwych rady.

Osoba, w którą zstąpił, liczy lat 24. Ojciec — pisarz u adwokata, matka — kobieta bez żadnego wykształcenia. Tą samą zaletą odznacza się i panna Couédon. Lekturę swą ograniczyła kilkunastu książkami popularnemi, które bywają rozdawane na egzaminach, jako nagrody. Czytuje zapewne brukowe pismo „Le petit Journal“, a silne wrażenie wywarła na nią historya dziewicy orleańskiej. Głównie wspomniane czynniki zawierają jej proroctwa.

Do 5 sierpnia 1894 r. około dziesiątej rano goszcząc u pani O., która także posiadała ongi dar jasnowidzenia, panna Couédon wpadła w ekstazę kilkogodzinną. Ponieważ jednak przez rok zachwycenie nie wracało, zapomniano o niem.

Aliści 5 sierpnia 1895 o tejże godzinie co poprzednio, zwiastun przyszłości znowu zawitał do młodocianej duszy.

Znajomi i nieznajomi dowiedziawszy się, że Henryka Couédon przepowiada przyszłość, jęli zosobna, potem tłumnie zwracać się do niej. Na wiadomość o tem spowiednik rodziny, ksiądz Valadier, zatrwożył się. Któż wie — sądził — czy nie szatan wcielił się w dziewicę. Dnia 17 marca 1896 r. wieczorem odwiedził ją i po rozmowie przeszło półgodzinnej wyszedł zadowolony ze łzami w oczach. Na wszystkie pytania bowiem Gabryel odpowiadał jak najuprzejmiej i z pełną życzliwością. Henryka reporterom podała te, które pamiętała. „Jeślibym miał eucharystyę, cobyś uczynił?“ - pytał duszpasterz. „Ukląkłbym przed tobą“ — brzmiała odpowiedź. „A gdybym ci podał krucyfiks?“ „Ucałowałbym go.“ Więc wszelkie wątpliwości księdza Valadier rozchwiały się i odtąd ani on, ani rodzice Henryki, ani sama panna Couédon nie potrzebują czuć skrupułów religijnych.

Jakich przeto rozkoszy mogą doznawać dzięki temu potomkowie d'Alembertów i Diderotów! Pani X. np., nie powiedziawszy nawet swojego imienia (co zwiększa znacznie cud!), dowiedziała się, że jej były mąż, z którym się rozwiodła, oszukiwał ją!... Pana J., grubego notaryusza z prowincyi, zasmucił Gabryel tąż samą wiadomością, dotyczącą jego — nawet nie rozwiedzionej żony. Kapłan z wioski V. był uprzedzony, że przeniosą go do innej dyecezyi. I przenieśli go! A panu Janowi Sabatier z bulwaru La Tour Maubourg anioł przepowiedział spadek. Większą jednak przysługę uczyniłby wszystkim tym osobom lokator panny Henryki — rzekł dowcipnie Karol Richet — jeśliby odkrył wysokość giełdy za dwa lub trzy dni. Bo bez trudności mógłby się znaleźć w posiadaniu kilku milionów.

Przepowiednie polityczne — gdyż i polityką zwiastun nie gardzi są bardzo groźne Francya będzie ukaraną za swą bezbożność' w Paryżu spłonie ratusz i opera, giełda będzie zamknięta. Coś, czego jednak anioł nie umie dokładnie wypowiedzieć, stanie się w budowanym obecnie kościele Serca Jezusowego na Montmartre. Co? Sądzę, że nie trudno domyśleć się, zważywszy inne przepowiednie Gabryela. Wszak przybędzie król, który już nietylko urodził się i dostał ząbki, ale liczy lat trzydzieści, ma nos z garbem i oczy wpadnięte. Nazywa się Henryk, herb lilia. Lecz nie jest nim żaden z dwu żyjących Henryków orleańskich. Przyjdzie z kraju lodowatego. A zatem będzie jego koronacya na Montmartrze.

Prócz tego ujrzymy wówczas podział Anglii (dzwonienie na gwałt przeciw Anglikom w dziennikach francuskich, Guilbert nawróci się na chrześciaństwo, Feliks Faure dostanie dymisyą, aniołowie będą obcować z ludźmi, słońce zbliży się do ziemi, ale na nią nie spadnie. Lotaryngia w zamian za to będzie przyłączona do Francyi (Alzacya nie) wybuchnie wojna, a w końcu spadnie deszcz ognisty.

Ale przyjrzyjmy się wypadkowi poważnie. Zabawna ta prorokini nie przedstawia nic szczególnego. Wypadki podobne — mówi Richet w bardzo pięknym artykule pisma „Revue scientifique — należą do tak znanych w zakresie zboczeń psychicznych, jak róża, albo złamanie żebra w zakresie patologii. Słowa samej pacyentki rzucają zbyt wyraźne światło na charakter jej słabości. „Kiedy anioł mówi przez me usta — oświadczyła reporterowi Meremu — ja nic nie słyszę. Nie słyszę zarówno pytań zadawanych mu. Wówczas jestem tylko narzędziem, niczem więcej. Osobowość moja znika i dopiero od matki i innych osób dowiaduję się o rozmaitych proroctwach wyszłych odemnie i spełnionych.

Każdy, kto zajmował się psychologią patologiczną, pozna w tym razie dwuosobowość. Usposobienie naturalne, wychowanie, lektura, wreszcie obrazek przedstawiający zwiastowanie i od lat kilkunastu zawieszony nad łóżkiem Henryki, wpłynęły na przemieszczenie ośrodka jej osobowości. Lada wstrząśnienie zewnętrzne, mała pobudka oddziaływają silnie. Człowiekowi pogrążonemu w śnie hypnotycznym, wystarczy, aby dokonać tej przemiany i nadać jej formę dowolną. Uśpiony może przemienić się w pieska, będzie nietylko szczekać, ale jak pies ogryzać świeże kości i za nogę chwytać. Od Azemy, który przed kilkunastu laty przytoczył podobny wypadek, wynikający niezależnie od uśpienia hypnotycznego, w życiu codziennem wielu badaczów europejskich gromadziło podobne fakty. Stany te mogą trwać nietylko kilka godzin, ale kilka tygodni i więcej. Większość czarownic składała się z chorych na dwuosobowość. Nawet bez pomocy patotologii widzimy wypadki dwuosobowości, chociaż niezupełnej. Poeta, wkładając jakąś mowę w usta jednej ze swych osób, zlewa się z nią, traci chwilowo własną osobowość. Mówca, wypowiadając obronę, podstawia siebie zamiast oskarżonego. Mózg Henryki Couedon, gdy stała się „archaniołem Gabryelem“, pracuje nad zachowaniem nowego jej charakteru i snuje nowe przędziwo, chociaż co prawda, bardzo liche [wiekszość wróżb posiada formę dwuwierszów.]

Nie przeszkadza to, aby ją codzień odwiedzały tłumy, a nędzna broszura o niej miała wielkie powodzenie.

Dotknąwszy zapału cudotwórczego, chciałbym powiedzieć słów kilka o innym bohaterze dnia. „Revue des Revues“ umieściła niedawno artykuł o wieśniaku Vignes, hugenocie z wioski ceweńskiej Valias. Jest to starzec liczący 72 lata, w zakres wieszczb nie wkracza zupełnie, poprzestając na leczeniu siłą woli, cytatami z obu testamentów i ostatecznie środkami ludowemi. Przed ćwierć wiekiem zaczął udzielać rad znajomym, rozgłośne jednak imię wyrobił mu dopiero w r. 1895 pastor szwajcarski, Schlachter z miejscowości Biel. Broszura jego zatytułowana: Dobra nowina dla chorych“; wywarła wielkie wrażenie w znacznej części Szwajcaryi i zwiększyła poważnie zastęp chorych, którzy podążali z protestanckiej części Francyi i republiki helweckiej do Valias.

Doktór Pin tak opisuje we wspomnianem piśmie konsultacyą Vignesa:

„Dwudziestu pięciu chorych weszło wraz z przewodnikiem do izby cudotwórcy. Przewodnik wyliczył wówczas choroby pacyentów. Vignes przybrał minę poważną, pełną prostoty i wypowiedział mowę następującej treści:

Jest tylko jeden lekarz: Bóg w osobie Jezusa Chrystusa. Gdy zechcecie go poznać, jemu się oddać, będziecie wyleczeni. Jesus mówił do porażonych niemocą: wstańcie i idźcie, i szli: do ślepych: przejrzyjcie

i widzieli — do głuchych: słyszcie i słyszeli. Tak z wami będzie, jeśli macie wiarę, która i góry podnosi: Idźcie w spokoju i bądźcie uzdrowieni. Chorzy podczas mowy klęczą, następnie całują szaty wieśniaka i wychodzą — uleczeni.“

Młody chirurg i anatom, docent tutejszego uniwersytetu, Feliks Lejars ogłosił w „Revue scientifique“, bardzo serdeczny nekrolog Teichmana. Rozprawa ta pod względem naukowym i co do formy zasługuje na wyszczególnienie.

W czerwcu 1888 r. uczony francuzki, wiedziony rozgłosem słynnego preparatora i badacza ustroju naczyniowego, przybył do instytutu anatomicznego w Krakowie. Szybko staruszek zaprzyjaźnił się z przyjezdnym i „godziny, które z nim spędziłem — mówi Lejars — należą do najmilszych, jakie sobie przypominam.“

Wprowadziwszy czytelnika odrazu w życie Teichmana, autor roztacza potem obraz biograficzny: młodość na wydziale teologii protestanckiej w Doparcie, studya medycyny w Heidelbergu i w Getyndze, podróż po Europie dzięki stypendyum, otrzymanemu tytułem nagrody z uniwersytetu getyńskiego: wspomina o stosunku przyjaznym z Hyrtlem, o długoletnim protektoracie w Getyndze i o przyjęciu katedry krakowskiej 1868 r. Przechodzi następnie do znaczenia jego w anatomii, roztrząsa większość prac drukowanych i oświetliwszy mile swoją rozprawkę kilku anegdotkami, kończy opisem ostatnich dni życia profesora.

Niedawno broniła tezy doktorskiej, pochodząca z Warszawy panna Regina Złotowska. Praca jej: „Seroterapia i jej zastosowanie“, nie zupełnie wprawdzie wyczerpująca, zawiera dość liczne dane, zwłaszcza co do używania surowicy, jako środka leczniczego we Francyi. Nadto autorka podaje historyą nowej metody, opisuje sposób wyrabiania i dołącza kilka własnych spostrzeżeń, dotyczących szczególnie leczenia dyftetytu i wstrzykiwań doktora Marmorka.

W. Bugiel.

Deportacya w Rosyi.

Sprawa deportacyi przestępców w ostatnich czasach na nowo wchodzić zaczyna na widownię dyskusyi publicznej. Z samej natury rzeczy zajmują się nią przedewszystkiem, obok sfer prawodawczych, kryminaliści rozmaitych narodowości. Dwa kongresy kryminalistów, a mianowicie londyński i sztokholmski oświadczyły się stanowczo przeciwko deportacyi jako karze i to głównie z powodu trudności, połączonych z jej wykonaniem. I zeszłoroczny paryski kongres więzienny omawiał obszernie tę sprawę, nie doszedł jednak do jako tako zadawalających wyników. O tyle jednak przyczynił się do lepszego rozświetlenia kwestyi, że ogłosił francuzkie tłomaczenie traktującej o deportacyi pracy znanego rosyjskiego kryminalisty Foinickiego (La transportation russe et anglaise avec une étude historique sur la transportation par Ivan Foinicki. Paris, Lecene, Oudin et Cie., 1895). Bonet Maury, urzędnik w bibliotece francuzkiego „Comité de Législation Etrangere“, wydał dzieło Foinickiego o „teoryi kar“ po części w dosłownem tłomaczeniu, po części w wyjątkach. Były prokurator, a obecny profesor prawa karnego przy uniwersytecie petersburskim, zbadał gruntownie i omówił obszernie dzieje angielskiej i rosyjskiej deportacyi. Gdy jednak o systemie karnym Anglii posiadamy Stephensa „Dzieje angielskiego prawa karnego“ i Aschrott'a pracę o „więzieniach angielskich“, brak nam co do Rosyi na tem polu wystarczających danych.

Wprawdzie znaną jest powszechnie rozgrywająca się na tem tle powieść Dostojewskiego p. t. „Dom śmierci“ i Kennan'a „Syberya.“ Dwa te utwory nie mogą jednak uchodzić za historyczne dokumenty. Zdania rosyjskich kryminalistów na rozmaitych zjazdach były nadzwyczaj sprzeczne. Foinicki natomiast zdumiewa nas nie tylko obfitością materyału statystycznego, ale i szczerością swych poglądów.

Deportacya rosyjska wykazuje dwa kształty, administracyjny i sądowy. Deportacya administracyjna nakazywaną bywa przez władze polityczne i dzieli się na dwa podgatunki, na polityczno-religijne i gminne przesiedlenie. Car stanowi polityczną i religijną głowę Rosyi, i w swych funkcyach reprezentowany bywa przez władze administracyjne. Każdy protest i każdy opór przeciwko jakiemukolwiek politycznemu rozporządzeniu, każde odstępstwo od prawosławia uważane bywa za zbrodnię przeciwko majestatowi i karane przesiedleniem na Kaukaz lub do wschodniej Syberyi. Pięć lat trwa to ograniczenie pobytu na pewien okręg, w obrębie którego pozostawiony jest skazanemu wybór miejsca pobytu i zatrudnienia. Dozór jest surowszy niż nad innymi przestępcami.

Przesiedlenie gminne stanowi instytucyę napotykającą jedynie w anglonormandskiem prawie i to bardzo osłabione podobieństwo. Gminie (mir), która odpowiada za nałożone na pojedyńczych jej członków podatki państwowe, przysługuje prawo przesiedlania niezdolnych do pracy i płacenia jednostek. Ostracyzm ten bywa uchwalony z inicyatywy naczelnika gminy przez dwie trzecie jej członków i przybiera dwie formy. Jeźli zwykle z powodu pijaństwa niezdolna do pracy jednostka zamieszkuje w gminie, wówczas gmina bez wszelkich formalności deportuje ją na pięć lat do Syberyi Zachodniej. Jeźli natomiast członek gminy skazany został za przekroczenie praw sądownie, to wyrokiem sądowym utraca swą przynależność do gminy, może się jednak po nią zgłosić ponownie w 6 miesięcy po upływie kary. W razie odrzucenia jego prośby, wywożony bywa na Sybir i pozostaje tam i po upływie 5 lat, dopóki go nie przygarnie do swego łona jakakolwiek gmina. Fakt, że z tem urządzeniem nie połączone jest zbyt wielkie nadużycie tłomaczy się jedynie tem, że gmina zobowiązana jest do ponoszenia dość znacznych kosztów transportu na Sybir i utrzymywania deportowanego podczas transportu. W roku 1883 wynosiła liczba w ten sposób wygnanych około 6000, nie licząc w to 3500 kobiet i dzieci, które dobrowolnie towarzyszyły swym mężom względnie ojcom na wygnanie.

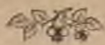
Skazanie na deportacyę przez sądy zawdzięcza swój początek — tak samo jak w Anglii — potrzebie uwolnienia kraju, a zwłaszcza stolicy od najniebezpieczniejszych zbrodniarzy, zatwardziałych recydywistów. Z czasem jednak zaczęto nadużywać tej kary na cele wewnętrznej i zagranicznej polityki i zdyskredytowano ją doszczętnie. Wywiezionych na Sybir pozostawiono początkowo w zupełności ich losowi, później używano ich do osiedlania i rusyfikacyi nowo zdobytych obszarów. Od połowy 18 wieku używa rząd wygnańców do budowy nowych środków komunikacyi, w fabrykach i kopalniach państwowych. Opracowane przez hr. Sperańskiego projekty reform rozbiły się z powodu braku pracy i kobiet. Dążył on bowiem do urządzenia kolonii przestępców, oddzielnie od osad miejscowej ludności, odstąpił jednak niebawem od tego zamiaru i zadowolił się osiedlaniem przestępców, skazanych na „posielenie“ w istniejących już wsiach. Ale i ten projekt nie udał się z powodu wstrętu miejscowej ludności przed przyjmowaniem przestępców do swych rodzin, a dalej i z powodu lichej wydajności gruntu i braku kapitałów, potrzebnych do racyonalnego prowadzenia roinictwa.

Obecnie odbywa się deportacya w dwojaki sposób. Przestępca skazany bywa albo na ciężkie roboty (katorgę), albo na prostą deportacyę (posielenie). Do katorgi skazuje sąd albo na pewien okres czasu albo na całe życie. Po przejściu fabryk i kopalni państwowych w ręce osób prywatnych, po ukończeniu budowy fortec i kolei państwowych, okazywać się zaczął brak sposobności do pracy. Celem opanowania obfitego napływu więźniów rząd pobudował w okresie od 1870 do 1880 r. więzienia centralne, w których pomieszczano skazanych na deportacyę. Zwiększająca się jednak stale śmiertelność (w końcu 25%) zmusiła rząd do szukania innych środków. Dokupił więc należącą do Japonii połowę wyspy Sachalin w morzu Ochockiem, do należącej już od dawna do Rosyi drugiej połowy i zatrudnia tam wywiezionych przestępców w rolnictwie i w eksploatacyi kopalni węgla. Nieznaczna część skazanych na ciężkie roboty wysyłana bywa do kraju Zabaikałskiego, reszta zatrzymywana w więzieniach centralnych. Na Sachalinie dzielą się przestępcy na trzy klasy o zmniejszającej się stopniowo surowości kary. W klasie II wolno jest więźniowi na gruncie należącym do fabryki lub kopalni wznieść dla siebie i dla swej rodziny domek, i w razie, gdy jest nieżonatym, pojąć żonę. Po jego śmierci domek przechodzi na żonę, jeśli pozostać pragnie na Sachalinie, w przeciwnym razie staje się własnością wspólnego funduszu klasy. Po upływie kary, lub przy karze dożywotniej, po upływie 20 lat, więzień staje się wolnym osadnikiem. Liczba skazanych na ciężkie roboty wynosi rocznie około 1.700 osób; na samym Sachalinie przebywało dnia 1 stycznia 1885 r. 30,004 mężczyzn i 338 kobiet. Przewóz z Odesy do Sachalina, utrzymanie i dozór kosztował państwo w 1889 r. 259.000 rubli, czyli 225 rubli na głowę.

Prosta deportacya bez ciężkich robót wykazuje dwa stopnie, odpowiednio do miejsca wygnania: Zachodnia Syberya (stolice Tomsk i Tobolsk) i Wschodnia Syberya (stolica Irkuck). Wszelkie próby zakładania kolonii przestępców lub osiedlania ich w istniejących gminach chybiły celu. Na nic się nie zdało wyznaczanie nagród dla rodzin, przyjmujących wygnańców do swego grona, na nic zakup młodych dziewczyn u koczowniczych szczepów Syberyi celem zakładania ogniska domowego. Wygnańcy jedynie formalnie przydzielani bywają do pewnych gmin, które ich niebawem wyganiają. Zajmują się oni wówczas żeglugą, rybołówstwem, produkcyą soli i złota, wałęsają się po kraju i stanowią stałe niebezpieczeństwo dla życia i majątku miejscowej ludności. Rząd zaniechał wszelkiego dozoru i w ten sposób cierpi Syberya wskutek ogólnego braku bezpieczeństwa publicznego i olbrzymich wydatków na utrzymanie znacznej liczby strażników, żandarmów, sądów i więzień, co wszystko nie jest w stanie opanować fluktującego bezustannie strumienia zbrodniarzy. Wygnaniec pragnący się osiedlić, otrzymuje od państwa kawał ziemi. Po dziesięcioletnim beznagannym pobycie staje się równouprawnionym członkiem gminy, w której przebywa. Ten przepis przedewszystkiem wywołał opór miejscowej ludności i spowodował proskrypcyę wygnańców. Jeśli się zważy, że wygnaniec, wyczerpany trudami transportu, często ciężko chory przybywa

do Syberyi, tam napotyka na obcy, surowy klimat, i właściwie przez lat dziesięć pozbawiony jest praw wszelkich, to zrozumieć nie trudno wyżej opisane stosunki Syberyi. Koszta przewozu (125 rubli na głowę) ponosi państwo, koszta żywienia więźniów gubernie, przez które odbywa się transport. Ogólne koszta wynoszą 820 franków na głowę. Z 10,000 deportowanych zapada na zdrowiu przecięciowo 2000, umiera 200, a ucieka 350. Trudy transportu są i dzisiaj jeszcze bardzo znaczne, chociaż w ostatnich czasach wskutek używania kolei żelaznych, okrętów i kibitek nastąpiły pewne ulgi.

Gdy Foinicki w dziejach deportacyi rosyjskiej widzi jedynie strony ciemne samej tej kary, spodziewa się jego kolega, prof. Tagancew po radykalnej reformie polepszenia, i przypisuje nie samemu środkowi lecz jedynie sposobowi jego stosowania całą winę niepowodzenia.



Ruch kobiecy na ziemi galicyjskiej.

Lwów, w czerwcu

II.

Zastęp nauczycielek w Galicyi jest spory. W samym Lwowie mamy ich 300, w Krakowie w szkołach świeckich 120, drugie tyle prawie po szkołach klasztornych, a ileż po naszych wsiach, wioskach, przysiółkach, miasteczkach małych i większych! O doli nauczycielstwa galicyjskiego rozwodzono się szeroko i długo w pismach naszych, a nawet w austryackiej radzie państwa, ale pomimo niezliczonych jeremiad, jakie wywodzono nic się dotychczas nie polepszyło w losie nauczycielstwa. — A jakie to stanowisko i uposażenie, osądzi czytelnik sam z tego, co tu poniżej podamy. Nauczyciel po ukończeniu 3 kursów rocznych w seminaryum idzie na bezpłatną praktykę w którejś ze szkół lwowskich a po roku lub 2 latach dostaje 240 złr. rocznie — po kilku latach może zostać nauczycielem młodszym o płacy rocznej złr. 480 a po długoletniej pracy dochodzi do 800 złr. rocznie. Nie byłoby to tak źle, gdyby nie to, że we Lwowie życie jest bardzo drogie, a nadto płace te obniżają się po miastach innych, w miarę malejącej liczby mieszkańców. Po wsiach płacą nauczycielowi po 200 złr. rocznie do 360 złr.

Położenie nauczycielek jest jednakże jeszcze gorsze. Po ukończeniu 4 kursów w seminaryum (4 lata) i po zdaniu egzaminu dojrzałości odbywają one albo praktykę w szkołach lwowskich albo idą na prowincyę. We Lwowie praktykują pięć lat bezpłatnie, to znaczy, że przez te lata żyć muszą jedynie z lekcyj prywatnych, które u nas bardzo licho są płatne. Po odbytej bezpłatnej praktyce otrzymują płacę 240 złr. i to może trwać drugich lat 5, jeśli się nie ma żadnych protekcyi. Nie pomogą zdolności, ni kwalifikacya, choćby najznakomitsza, ani aplikacya. — „Plecy“! to grunt! I dziwcie się, że tyle rozgoryczenia spotyka się u nas. Ta, która nie może reflektować na żadną pomoc ze strony rodziny, wyjeżdża na prowincyę; jest szczęśliwą, jesli się jej uda dostać posadę na małem miasteczku, ale ciężka, bardzo ciężka czeka ją dola, gdy na wsi osiąść wypadnie. Jakie to opłakane stanowisko, świadczą o tem tysiączne przykłady, o których opowiadają sobie ludzie lub piszą, — a pomimo to rady szkolne, nie zdobyły się na postanowienie, żeby na wieś dawać jedynie mężczyzn, zwłaszcza tam, gdzie jest lud ciemniejszy. Parę mil od Lwowa we wsi ruskiej dostała posadę nauczycielka młoda, bo 20 lat życia licząca. Nie podobało się chłopom, że ta pani każe się dzieciom myć, czesać i łatać dziurawe ubrania, — wymagania te wydały się im tyranią nie do zniesienia, — zatem postanowili rozprawić się z nauczycielką i doraźny sąd utworzyć... Nie długo się naradzali, napadli na nią z kijami i puścili ledwo żywą. Prawda, że sprawą tą sąd się potem zajmował, ale faktu cofnąć nie zdołał. A ileż to razy pijany pan wójt z kilku radnymi ze wsi wpada do klasy podczas nauki i wymyśla w obec przelęknionych dzieci nauczycielce?! Wszystkie w ogóle ujemne wypadki tego rodzaju przemawiają stanowczo zatem, żeby posady po wsiach nadawać mężczyznom, którzy w trudnych warunkach prędzej z chłopami radę sobie dadzą od kobiet.

Nauczycielki w Galicyi, zwłaszcza dobre Polki, spełniają często swe obowiązki z prawdziwem kapłaństwem. Powiecie: pracują dla chleba. Prawda! chleb, to nieodzowny warunek życia, ale zaręczam wam, że są kapłanki, nawet w tych naszych czasach pozytywnych i materyalistycznych. — Znam wiele takich, które jak o raju marzyły o tem, że zaraz po skończeniu seminaryum pojadą na wieś między lud z pochodnią wiedzy i oświaty, że życie całe dla ludu pracować będą. Z rozrzewnieniem serdecznem patrzyłam na te młode adeptki ciężkiego nauczycielskiego zawodu — i życzyłam im szczęścia. Szczęścia? Tak to znaczy, żeby miara rozczarowań zawodowych była dla nich jak najmniejszą, żeby zaczęły jak najpóźniej opadać listki z tego wspaniałego kwiatu wiary w dobre, który im w duszy rozkwitał. I cóż się stało? Niestety.. pozostały tylko rozbitki.. ocalało nie wiele. Jedne z gorszych miejsc dostały się na lepsze, drugie, dzięki silniejszej organizacyi fizycznej, przetrwały złe i jakoś ciągną ze spokojem i rezygnacyą taczkę żywota, ale ileż to było takich, które ponmierały z niedostatku?! Znałam ich wiele, nawet koleżankę moją z ław szkolnych spotkał los taki..., w tydzień po jej śmierci doniesiono mi, że ciało w kostnicy leżało trochę zadługo, bo nie było grosza na trumnę. Przypomniało mi się życie tej dziewczyny. Smutne to było kołatanie się w łodzi życiowej, w której żeglować tak ciężko, tak bardzo ciężko, a morze tak niebezpieczne, takie straszne bywa, zwłaszcza dla dziewczyny-sieroty. Inne z tych idealistek, nie mając tyle hartu, skwitowały ze swych aspiracyi wyższych i powychodziły za mąż najgorzej, bo za ludzi o poziomie umysłowym więcej niż małym, — inne jeszcze zgorzkniały. a kilka tylko w tej twardej szkole życiowej zahartowało się i dziś mówią z dumą: „Przebyło się dużo złego, do wielu rzeczy przywykło się — ale za to lat się nie zmarnowało: Patrzcie dzisiaj na tę wieś! Porównajcie ją z tem, co było przed laty dziesięciu!“ W istocie miały się czem chlubić. Przez jakież to piekła przejść musiały! Niedola, nieufność ludu, grubiaństwa miejscowego nadzoru szkolnego, często przeważnie z chłopów złożonego, a w końcu inspektorowie okręgowi, pomiędzy którymi bywają tacy, których inaczej nazwać nie można, jak egipską plagą. Szczęśliwa nauczycielka, jeśli natrafiła na ludzi porządnych, przyzwoitych, ale ilużto bywa między nimi ludzi bez wartości, pragnących podwładną zamienić w zmysłów zabawkę. Wszędzie ta sama historya... wszędzie spotka się, *la bête humaine* Zoli, — zwierzęta w skórze człowieka.

Tak się przedstawiają nasze stosunki nauczycielskie. W czasie obecnym pośród nauczyciek we Lwowie zapanował ruch niezwykły. Wywołany on został okólnikiem rady szkolnej okręgowej (miejskiej), która przekonawszy się, że przyjęła do szkół lwowskich o kilkadziesiąt praktykantek więcej, aniżeli zamierzała, postanowiła usunąć je, chociażby po kilku latach służby we Lwowie. Wywołało to alarm, i młode nauczycielki a raczej fabrykantki z niebywałą dotychczas solidarnością zabrały się do akcyi obronnej. Energiczniejsze zapoczątkowały czynności, które podjąć należało w celu ratowania się, i tak stanęła petycya, podpisana stukilkudziesięciu podpisami, wręczona przez delegatki reprezentantom władz szkolnych. Nadto dzielne pracowniczki kazały petycyę w stu egzemplarzach wydrukować, potem na grupy się podzieliwszy pukały do stu radnych miasta Lwowa i każdemu jeden egzemplarz tej petycyi wręczyły. Brzmienie petycyi jest następujące: (podajemy ją, jako wybornie przedstawiającą stosunki nauczycielskie lwowskie).

Świetna Reprezentacyo miasta! — Podpisane, płatne i bezpłatne praktykantki w szkołach miejskich we Lwowie, którym reskrypt Rady szkolnej krajowej grozi usunięciem z zajmowanych dotychczas miejsc, wnoszą prośbę o rozpatrzenie ważnych powodów, nie dozwalających im przesiedlenia się na prowincyę, — a temsamem proszą o pozostawienie ich w szkołach lwowskich. Prośbę swoją popierają następującemi motywami: a) Pracując gorliwie, od 3 do 9 a nawet 10 lat bez awansu, spodziewałyśmy się, że praca nasza zostanie uznaną prędzej czy później — a praca to nie łatwa, połączona z obowiązkiem zdawania egzaminów kwalifikacyjnych i wydziałowych, bo i te są dla nas obowiązkowe, jakkolwiek nauczyciele mogą je zdawać dowolnie i z pomocą kursów przygotowawczych, dla nas niedostępnych. Dodać musimy, że nawet przeniesione do szkół męskich, podejmowałyśmy się tych trudnych obowiązków, — b) Odbywając praktykę od 3—5 nawet lat zupełnie bezpłatnie otrzymywałyśmy następnie tak małą płacę, że ona żadną miarą wystarczyć nie mogła na najskromniejsze nawet utrzymanie, musiałyśmy więc udzielać lekcyi prywatnych, które tak wiele czasu i zdrowia pochłaniają, a tak małe i niepewne przynoszą dochody. c) Pomimo tych trudnych warunków nie mogłyśmy jednakże przenieść się na prowincyę, gdyż na to nie pozwalały, a tembardziej teraz nie pozwalają nam stosunki rodzinne. — Jedne z nas bowiem pomagają osiedlonej tu rodzinie, innym rodziny dają pomoc i opiekę, której nie mogą się pozbawić przez wyjazd. d) Gdyby to było dla nas możliwem, byłybyśmy zaraz po maturze wyjechały na prowincyę, gdzie otrzymałybyśmy odrazu płacę a po dwuletniej praktyce i egzaminie kwalifikacyjnym posadę stałą, a jednak musiałyśmy się zgodzić na tyloletnią praktykę, podczas której jedyną dźwignią moralną dla nas było najgłębsze przekonanie, że stablizacya we Lwowie nas nie ominie, jak tego przykład miałyśmy na koleżankach. e) Regulamin przeznacza praktykantkom 12 godzin zajęć tygodniowo, jednak w rzeczywistości mają one ich daleko więcej, gdyż zastępują nieraz całemi miesiącami bez żadnego wynagrodzenia chore nauczycielki, gospodynie klas i, jak wizytacye inspektorów wykazały, bez żadnej szkody dla nauki, niektóre nawet samoistnie prowadzą klasy. Z usunięciem praktykantek straciłoby więc i szkolnictwo, gdyż pozbyłoby się ukwalifikowanych i posiadających rutynę nauczycielek, zastępując je coraz to nowemi siłami nauczycielskiemi. f) W ewentualnym razie usunięcia nas ze szkół lwowskich, musiałybyśmy się wyrzec służby nauczycielskiej, a byłoby to dla nas niepowetowaną krzywdą, bo do żadnego zawodu innego nie posiadamy kwalifikacyi, musiałybyśmy się więc sposobić do innych zawodów w tak spóźnionym i na rozpoczęcie ponownego, specyalnego kształcenia się niedpowiednim wieku“.

Tak się przedstawia petycya, która jest już w ręku władz i u radnych. Oby tylko dobry, pożądany odniosła skutek. Na dzisiaj dosyć już pogadanki, a na przyszłą przygotuję rzecz o ruchu literackim wśród kobiet w Galicyi.

J. Aleksota.



WOLNE GŁOSY.

Z poważnego źródła odbieramy artykuł astępujący:

Nasza „inteligencya“.

Wyraz inteligencya ma, jak wiaomo, podwójne znaczenie. Właściwie oznacza rozum, wykształcenie, bystrość, zdolność, — a przenośnie i zbiorowo oznacza tę klasę osób, które posiadają powyższe zalety, ub o których się przypuszcza, że z powodu wego wykształcenia szkólnego przymioty e posiadać mogą i posiadać powinny. Dziiaj używa się tego wyrazu zazwyczaj w oem przenośnem znaczeniu i o tej inteliencyi naszej pragnąłbym tu kilka słów owiedzieć.

Tego pojęcia inteligencyi, jako ewnej klasy w łonie społeczeństwa, dawiej weale nie było. Dzieliło się dawniej połeczeństwo na stany: był stan duchowny, yła szlachta, był stan mieszczański i był d wiejski. Byli ludzie mniej lub więcej nteligentni we wszystkich tych stanach, były każdym z tych stanów stopnie i odcienie, nie mówiono o inteligencyi, jako o osonym odłamie, jako o osobnej klasie społeznej. Jestto wyrób nowszych dopiero czaw. Szranki, dzielące dawniej jeden stan d drugiego, upadły głównie pod wpływem ewolucyi francuzkiej. U nas konstytucya go maja zrobiła pierwszy wyłom w tym murze, dzielącym różne stany, — reszty doonały: ogólny postęp, uprzystępniona wszytkim oświata, wreszcie stosunki nasze polityczne, niwelujące wszystkie różnice stanowe wobec ciążącej na całym narodzie zależności od obcej przemocy.

Ale przez dłuższy jeszcze czas nie wyonila się u nas „inteligencya“ jako odrębny odłam społeczny. Pierwszym wybitnym reprezentantem takiej inteligencyi był u nas Karol Marcinkowski. Ani wskutek swego urodzenia, ani wskutek majątku lub urzędowego stanowiska, lecz dzięki jedynie swej inteligencyi, swej dzielności umysłu i charakteru zajął on pierwszorzędne w społeczeństwie stanowisko i starczył sam jeden za wielu, wypełniał sam to, co w innych narodach spełniała w owym czasie cała liczna klasa inteligencyi. Zrozumiał on też jasno, społeczeństwo nasze, jeżeli się ma normalnie rozwijać, potrzebuje całego szeregu inteligentnych ludzi, potrzebuje „inteligencyi“ w dzisiejszem jej znaczeniu, — i w tej myśli stworzył wiekopomne swe dzieło: Towarzystwo Pomocy Naukowej.

Jest to w przeważnej części jego zasługą, jest zasługą stworzonego przez niego towarzystwa, że Wielkopolska ma dzisiaj cały szereg ludzi światłych, wykształconych, że możemy już dzisiaj mówić o inteligencyi, jako odzielnym odłamie społecznym, a rekrutującym się ze wszystkich warstw społecznych.

Przypatrzmy się teraz bliżej, jaką nasza dzielnica ma dzisiaj „inteligencyę“.

Niewątpliwie zaliczyćby do niej należało cały stan duchowny. Od kilkudziesięciu lat każdy ksiądz musi u nas ukończyć nauki gimnazyalne i odbyć następnie studya specyalne w seminaryum, które zastępują studya uniwersyteckie i akademickie innych zawodów. To też nietylko ze swego stanowiska wobec społeczeństwa, mianowicie wobec ludu, i nietylko wskutek swego niezależnego pod względem materyalnym stanowiska, ale i z powodu swego wykształcenia jest stan duchowny potężnym u nas czynnikiem, wywierającym wpływ bardzo wybitny na ustrój i rozwój naszych stosunków. Z uznaniem też zaznaczyć należy, że stan duchowny w przeważnej swej części niezapoznaje i niezaniedbuje płynących ztąd obowiązków swoich wobec narodu. Widzimy duchownych biorących gorliwy udział w sprawach ogólnych, politycznych i społecznych, widzimy z nich wielu nietylko między pracownikami ale i między kierownikami naszych instytucyi społecznych, Kółek rolniczych, Towarzystw przemysłowych, Spółek zarobkowych i innych, słowem spotykamy ich wszędzie, gdzie chodzi o dobro narodu.

Wobec tego wszystkiego jednakże nie należy spuszczać z oczu dwóch względów — i to najprzód, że bądź co bądź głównem zadaniem duchowieństwa jest i będzie zawsze piecza duchowna około poświęconych jego opiece parafii — i że temu zadaniu przedewszystkiem poświęcać się musi, — a powtóre, że w całości swej tworzy duchowieństwo stan odrębny w narodzie, z własną, odrębną organizacyą, a z jednolitym z góry kierunkiem. W interesie i całego narodu i samego stanu duchownego pragnąć należy, aby interesa narodowe nigdy się nie rozchodziły ze specyalnemi interesami stanu duchownego, aby nigdy między jednemi i drugiemi dążeniami nie zachodziła kolizya. To jest idealny stan rzeczy, — tak zawsze być powinno. Ale trudno zamykać oczy na to, że może też być inaczej. Mogą zachodzić i niestety zachodzą też rzeczywiście takie stosunki, że najwyższa władza dyecezyalna nie tylko jest obojętną na dążenia narodowe całego społeczeństwa albo przeważnego odłamu tegoż, ale jest im wprost niechętną i nieprzyjazną. Tam kolizya jest nieunikniona, a biada społeczeństwu gdyby w takich chwilach i okolicznościach nie miało innych przewodników, niż stan duchowny, bo tenże nawet mimo najszczerszej chęci, mimo odmiennego zupełnie przekonania i uczucia mógłby być skrępowany wskazówkami z góry lub wprost rozkazami swej władzy, której w pewnych granicach słuchać musi.

W naszych przeto stosunkach — a nie mam tu na myśli specyalnie ani wyłącznie W. Ks. Poznańskiego — nie byłoby wcale pożądaną rzeczą, aby ster spraw publicznych i społecznych, a wogóle ster spraw świeckich trzymało w ręku duchowieństwo, jakkolwiek, jak to już wyżej zaznaczyłem, z wszelkiem uznaniem i wdzięcznością przyjąć należy obywatelski współudział duchownych w pracach narodowych.

Nasuwa się teraz pytanie, czy tak samo, jak stan duchowny, możemy szlachtę uważać za reprezentantkę „inteligencyi.“ Stanowczo odpowiedzieć należy, że nie! Pojęcie szlachty, jako odrębnego stanu społecznego, jest już wogóle u nas anachronizmem. Nie mówiąc już o Szląsku ani o Prusiech Zachodnich, my szlachty — jako odrębnego stanu społecznego — już nawet w W. Ks. Poznańskiem nie posiadamy. Szlachcic — a dziedzic, czy właściciel ziemski — były dawniej pojęciami identycznemi. Dzisiaj atoli mamy między dziedzicami wielu nie mogących się wylegitymować ze szlachectwa ani wogóle nie mających do tego pretensyi, — jak odwrotnie mamy wielu herbowych, karmazynów i szaraczków we wszystkich zawodach i sferach, nie wyjmując nawet prostych robotników. „Szlachectwo“ jest już dzisiaj tylko zabytkiem historycznym, pamiątką rodzinną, której pielęgnowania i cenienia nie należy nikomu brać za złe, chociaż nie ma ono już dzisiaj żadnego praktycznego znaczenia. Wyróżnianie się z tego powodu, wszelka pretensyonalność z tego tytułu — byłyby wprost śmieszne, ale też takich osobników, którzyby z tej racyi uważały się za jakąś wyższą, uprzywilejowaną klasę, jest już u nas bardzo mało.

Skoro zaś nie ma już u nas szlachty, jako odrębnego, uprzywilejowanego stanu, któryby sobie z tego tytułu rościł pretensyę do przewodnictwa, to też wszelką walkę ze szlachtą uważaćby trzeba za rzecz śmieszną, za donkiszoteryę.

Pojęcie „szlachcica“ zastąpiło u nas w praktycznem życiu pojęcie „dziedzica“ czy „obywatela wiejskiego“, i możnaby dziś mówić chyba o „stanie dziedziców“ ale już nie o „stanie szlacheckim“.

Całego dzisiejszego stanu dziedziców także nie można uważać za reprezentanta naszej „inteligencyi“. Mamy wśród tej sfery wielu ludzi światłych i bardzo inteligentnych, wielu takich, którzy pokończyli nie tylko szkoły średnie, ale uniwersytety i różne wyższe zakłady naukowe, — ale całego stanu obywateli wiejskich do „inteligencyi“ zaliczać nie możemy. Owych jednakże wybitniejszych reprezentantów zawodu rolniczego, o których wyżej mówiliśmy, słusznie zaliczać należy do „inteligencyi“ w ściślejszem znaczeniu, i mówiąc o tejże inteligencyi, zaliczać ich też do niej będziemy.

Że i między kupcami i przemysłowcami mamy coraz więcej światłych i wykształconych ludzi, których tak samo, jak wielu dziedziców do „inteligencyi“ zaliczać należy, o tem powszechnie wiadomo. Tak samo i między gospodarzami włościańskimi — dzięki pracy Kółek rolniczych — wyrabia się coraz więcej ludzi światłych z jasnym poglądem na sprawy publiczne. Ale bądź co bądź są to na wielkim obszarze sfer kupieckich, przemysłowych i rolniczych wyjątki — „rari nantes in gurgite vasto“. Ogół tych zawodów wiele jeszcze nad sobą pracować musi, zanim stanie na równi z pokrewnemi zawodami u innych narodów. Postęp znaczny — ale do celu jeszcze daleko. Z drugiej jednakże strony to zaznaczyć należy, że reprezentanci inteligentni tych właśnie sfer przez swój więcej wyrobiony zmysł praktyczny mogą na bieg spraw publicznych bardzo korzystny wpływ wywierać.

Przechodzę teraz do zawodów, które dostarczają najwięcej składników naszej inteligencyi — tj. do profesorów, prawników, lekarzy, aptekarzy, architektów, inżynierów, wreszcie wykształconych literatów, dziennikarzy i artystów. W zwykłem, potocznem użyciu rozumie się przez inteligencyę reprezentantów tych właśnie zawodów, — zawodów ściśle naukowych.

Ciekawą byłoby rzeczą zestawić statystykę tej właśnie inteligencyi w zaborze pruskim. W braku takowej nie mogę operować dokładnemi liczbami, ale sądzę, że bez przesady można reprezentantów tej inteligencyi, włączając kwalifikujące się tutaj osoby z innych zawodów, liczyć na kilkaset.

Zachodzi teraz pytanie, czy ta inteligencya — w stosunku do swego wykształcenia, do swego stanowiska społecznego, a wreszcie i zasobów materyalnych — zajmuje odpowiednie miejsce przy sterze spraw społecznych, — czy razem wzięta posiada przynajmniej tyle wpływu na sprawy publiczne, ile go miała swego czasu jedna potężna indywidualność — Karól Marcinkowski. Odpowiedź bodaj wypaść musi przecząco.

Jeżeli się zapytamy o przyczynę tego zjawiska, to nie należy jej upatrywać w braku sił lub zdolności, lecz w braku porozumienia się, w braku organizacyi. Cząstka tej inteligencyi próbowała zorganizować się przed dwoma mniejwięcej laty — i z dobraniem inteligentnych żywiołów ze wszystkich niemal sfer społecznych założyła „Przegląd Poznański“, — z niemałą ofiarą zasobów pieniężnych.

Zdaniem mojem popełniła jednakże ten błąd, iż obiecywała sobie za pomocą pisma stworzyć organizacyę i szeregowanie inteligencyi, — kiedy należało raczej zacząć od organizacyi, któraby dopiero stworzyła pismo, jako swój organ, albo przynajmniej rozwinąć działalność równocześnie w obu

kierunkach. Były wprawdzie propozycye ku temu, ale nie zostały wykonane. „Przeglądowi" jednakże należy bądź co bądź przyznać zasługę, że utorował drogę ku temu, że do pewnego stopnia zszeregował i skupił w koło siebie dość liczny zastęp inteligencyi. W braku atoli rzeczywistej organizacyi nie zdołał wywrzeć wpływu wyraźniejszego na bieg spraw publicznych — i stanął wreszcie wobec trudności materyalnych, kwestyonujących nawet byt jego.

Od czasu założenia „Przeglądu" zmieniły się stosunki nasze pod niejednym względem. Rozwiały się marzenia optymistów politycznych, rozjaśniły się pojęcia i wyrobiło i umocniło się przekonanie, że każdy naród, a szczegółowo nasze polskie społeczeństwo pod panowaniem niemieckiem, jedynie na własne siły liczyć może i powinno, jako też że jedynie wtenczas zdoła obronić swe ideały narodowe i przeprowadzić swe odrębne zadanie i dążenie, jeżeli do współudziału w tej pracy powoła i przygotuje wszystkie warstwy, jeżeli w całym narodzie — począwszy od wierzchołków aż do najprostszego robotnika — rozbudzi poczucie narodowe, poczucie praw i obowiązków, jeżeli je uświadomi i wdroży do samodzielnego pełnienia obowiązków — przejąwszy się przekonaniem, że to jedynie, ale też to stanowczo prowadzi do zwycięstwa.

Z drugiej strony w obozie naszych przeciwników politycznych powstała organizacya, która nie wywiesza wprawdzie na swym sztandarze naszej zagłady, ale z żelazną konsekwencyą do niej dąży i prowadzi, i która niewątpliwie przyniosłaby nam niepowetowane szkody i poczyniłaby dotkliwe szczerby w naszych szeregach, gdybyśmy się tym zabiegom przypatrywali spokojnie i z założonemi rękoma, gdybyśmy tej organizacyi nie przeciwstawili własnej i gdybyśmy temu naciskowi należytego nie dali odporu.

Przeciwnicy nasi przyszli, jak się zdaje, do przekonania, że zgermanizowanie ludu naszego jest mrzonką. Nie dokazały i nie dokażą tego ani różnorodne specyalne prawa, ani też szkoła, nie dokazałoby nawet tego duchowieństwo, gdyby — czego nie przypuszczamy — zaprządz się miało w rydwan tej polityki. Przeniesiono więc walkę na pole ekonomiczne. Słabemu społeczeństwu trudno bronić swych skarbów narodowych, — chodzi więc o osłabienie nas o podkopanie naszego bytu materyalnego. Ten system dzisiejszej walki zawiera dla nas głęboką nauką i powinien nam być bodźcem i wskazówką własnego dalszego postępowania i organizowania się.

Chwila dzisiejsza jest bardzo ważna. — Powyżej przytoczone okoliczności zmuszają nas do lepszego zorganizowania się, jeżeli nie mamy uledz naciskowi. Obowiązek zaś inicyatywy do zorganizowania się ma przedewszystkiem inteligencya. Jeżeli nie spełni tego obowiązku, jeżeli nie wytęży wszystkich sił w kierunku obrony naszych interesów, to ciężka na nią spadnie odpowiedzialność wobec całego narodu i jego przyszłości.

Wytyczne tej organizacyi wynikają z owych dwóch wyżej wymienionych okoliczności: z potrzeby wzmocnienia naszej obrony wobec zewnętrznego nacisku — i z konieczności powołania do niej i odpowiedniego przygotowania wszystkich sfer naszego społeczeństwa. Organizacya powinna więc być przeprowadzona w kierunku ludowym, na podstawie demokratycznej, powinna objąć wszystkie warstwy naszego społeczeństwa i wszystkie dziedziny życia społecznego — a powinna się gruntować na przekonaniu, że naród jedynie własną siłą stać może — i że taka organizacya — oparta zresztą ściśle na legalnej podstawie, — zwalczy wszystkie przeciwności i zakończyć się musi zwycięstwem dobrej i słusznej sprawy.

Zanimby jednakże inteligencya przystąpiła do przeprowadzenia takiej ogólnej organizacyi, ma bliższe zadanie — zorganizowanie własnych szeregów. Do tej organizacyi nawołujemy dzisiaj inteligencyę naszą.



W sprawie stronnictwa demokratycznego.

Z Szląska polskiego.

Szanowna Redakcyo! Jakkolwiek w ostatnim num. „Przeglądu" wyrażone życzenie nadsyłania wiadomości o lokalnych stosunkach partyjnych wyraźnie do Księstwa i Prus ograniczono, odzywam się ze Szląska polskiego, przekonany, że stronnictwo demokratyczne przy zakładaniu swych fundamentów Szląska nie pominie, lecz owszem w miarę rozwoju budzącej się samowiedzy narodowej dokona i w politycznym względzie tego, co dotychczas ledwie na papierze figuruje — połączenia się Szląska z resztą Polski.

Demokratyczne hasła, z któremi nowe stronnictwo do walki stawa, nie mogą na Szląsku przebrzmieć bez echa. Nie ma bowiem chyba dzielnicy polskiej więcej demokratycznej nad Szląsk. Arystokracya szląska znaczy tyle, co niemiecka — a więc wroga i taka, która w naszej statystyce nie wchodzi wcale w rachubę. Nawet i o mieszczaństwie zupełnie to samo można powiedzieć, bo te początki nieledwie nam w oczach i na poczekaniu tworzącego się mieszczaństwa polskiego nie są tak liczne, by przy obliczaniu sił narodowych osobno na uwzględnienie zasługiwały. Jednostki te składają się przeważnie z emigrantów Wielkopolskich, z których ani jeden dla własnej przyjemności rodzinnej strony nie opuszczał, lecz gnany twardą koniecznością szukania chleba; każdy z nich należy do tej klasy arystokracyi pracy, która powstaje nie z soli ani z roli, ale z tego co to boli. Jak w ogóle poza kraj wychodzą z natury rzeczy, tylko dzielniejsze jednostki, a pomiędzy nimi najdzielniejsze tylko zdobywają dla siebie w obec obcej i nieufnej lub wręcz nieprzychylnej ludności jakie takie stanowisko, więc i my tu na Szląsku mamy wielu ludzi dzielnych, którychby i sam Poznań nam mógł pozazdrościć. W nowszym czasie w szeregi polskich przodowników na Szląsku sporo rodzimej inteligencyi napływa i zdaje się, że dziś te czasy, kiedy to w kołach rządowych się może łudzono, że ruch polski da się powstrzymać i wyniszczyć, bezpowrotnie minęły.

Przodownicy polscy tu tylko bardzo odosobnieni i jak gdyby dla utrzymania nasienia polskiego na Szląsku, przez Opatrzność nader rzadko rozsadzeni, na jakiś związek i łączność w sprawach narodowych dotychczas się nie zdobyli. Stan obecny prędzej czy później, w ten czy ów sposób zakończyć się musi. A może to natychmiast w najlegalniejszy na świecie sposób się odbyć, jeżeli się zdobędziemy na komitet centralny polski. Biorąc w dotychczasowym ruchu demokratycznym udział czynny, zauważyłem z jednej strony niezaprzeczoną dążność do rozprzestrzenienia granic naszej działalności politycznej, z drugiej strony jednak nie obce mi również względy przeciwko centralizacyi takiej przemawiające.

Opozycya stara się wymownie uzasadniać twierdzenie, że na Szląsku z Centrum zrywać nie można. Nieznając własnych sił, przecenia ona wpływy przeciwników i zdaje jej się, że bez pomocy tych kilku niewyraźnych Centrowców, własnego kandydata pod nowem hasłem nie przeprowadzi, — więc za sobą mostów popalić się lęka. Jest także wielu i takich, co wierzą nieugięcie w to, co w nich wmówiono, tj. że centrum dotychczas dobrze broniło interesów polskich i że i nadal tego uczynić nie omieszka. Nikomu przekonania mego nie chcę narzucić, tylko po raz niezliczony powtarzam, że tak jak Polak z Niemcem, tak samo polski Szlązak z niemieckim ultramontaninem nader często zgodzić się nie może, a o tem, jak centrum interesów swych polskich wyborców broniło i broni, różnie kroniki pisały. Wierzę ja chętnie, że niejeden głos by nam tu odpadł, gdybyśmy pod nowem hasłem i w łączności z resztą Polski w pruskim Zaborze do walki wyborczej stanęli, lecz i w to wierzę, że nie oglądając się na tę garść „niewyraźnych", którzy wbrew Centrowym kartelom z Bismarckowcami i liberałami ślepo wierzą centrowej partyi, daleko intenzywniej walczyć i daleko skuteczniej naszych śpiących rycerzy budzić moglibyśmy. Co do mnie nie obawiam się mniejszych sukcesów bez i przeciw Centrum, byle tylko zgodnie i karnie wystąpić.

Ale zresztą to wszystko pominąć można. Z łączności Szląska z Wielkopolską w razie akcyi wyborczej nie wynika bynajmniej konieczność rugowania tego, co jest obecnie. W Komitecie wyborczym centralnym zasiedliby najprawdopodobniej ci sami ludzie jako delegaci szląscy, którzy dziś tutejszym ruchem kierują. Gdyby więc nie miano się zgodzić na bezwzględną łączność i nie chciano na Szlązku stawiać kandydatów stronnictwa demokratycznego, to i wtenczas nic nie przeszkadza wybierać tak jak dotychczas własnych kandydatów do Centrum. W każdym razie nagnałaby łączność Szlązka z Wielkopolską panom centrowcom więcej respektu przed ludem górnoszlązkim i w każdym razie możnaby za udzielenie pomocy w jednem miejscu uzyskać pomoc na innem miejscu, chociażby w Poznańskiem lub w Prusach Zachodnich.

Wielu z naszych polityków szląskich obawia się, nie bez słuszności zresztą, łączności nie tak dalece z Wielkopolską, jak raczej z polityczną reprentacyą tejże, t. j. z Kołem w dzisiejszym jego składzie.

Z okazyi głosowania „koła" za projektem wojskowym mianowicie, przychodziło tutaj pomiędzy pojedyńczymi „politykami" do wymiany zdań, przyczem przeważało przekonanie, że w obec takiego postępowania Koła, zgoła mowy być nie może o tem, aby w danym razie jeden lub drugi z naszych polskich posłów szląskich mógł się przyłączyć do Koła. Wyrażano tu bez zastrzeżeń przekonanie, że Koło gotowe dla pierwszych lepszych złudnych widoków lub elastycznych przyrzeczeń natury separatystycznej, postąpić przeciwko woli wyborców i interesa ich, mianowicie interesa wyborców szląskich, wprost zdradzić.

Lękliwszych ludzi straszy jeszcze i wzgląd na sfery urzędowe, które oczywiście połączeniu się Szląska z Wielkopolską w każdy możliwy sposób starają się przeszkodzić. Ostrożni ci politycy obawiają się rząd jątrzyć i do nowych przeciwko nam wycieczek wyzywać.

I to są płonne i niczem nieuzasadnione obawy. Rząd pozostanie zawsze jeden i ten sam, — tak dziś jak jutro chciwy zagłady naszej. Każda godzina nowym jest dowodem krzyżackich intencyi, — więc na bok wszelkie złudzenia! Toż policya poznańska podobno dała do zrozumienia, że sierpniowy zlot Sokołów na większe jeszcze natrafi trudności, niż ograniczenie liczby uczestników z Galicyi, jeżeli szląscy druhowie poważą się doń przyłączyć.

No, druhowie! sądzę, że to jako próbka rządowych intencyi wystarczy. Galicyjscy

Sokoli, spodziewam się, będą umieli się postarać o satysfakcyę u rządu austryackiego, który przy okazyi niemieckich Ganturnfestów w Austryi, będzie mógł nawet dotkliwiej zapłacić za niemiecką gościnność, jeżeli cała ta sprawa na pokojowej drodze się nie załatwi i Niemcy zakazu nie cofną.

A o jakiej satysfakcyi pomyślą druhowie szląscy? Czy polski Szląsk nie odczuł policzka mu wymierzonego pod adresem Sokołów?

Nie łagodnością i uległością droga do zwycięstwa z tak wielmożnym sąsiadem, lecz także — ością, ale w gardle.

Chim.

TO I OWO.

Poeci niegdyś a dziś.

Aleksander Świętochowski tak charakteryzuje różnicę między dawnymi a tegoczesnymi poetami w nr. 23 warszawskiej „Prawdy“:

„Poeta romantyczny był ptakiem, był orłem, przebywającym na skałach i bujającym w podniebiu lub jaskółką nie umiejącą chodzić po ziemi i krążącą ustawicznie nad nią: poeta tegoczesny posiada również skrzydła, ale przypinane, gdy potrzebuje wznieść się, przyczepia je, — padłszy na ziemię odejmuje i chodzi jako bezlotek. Talent jest to siła żywa, która zależnie od warunków rozwoju i działania może zmieniać swoją naturę i natężenie. Gdyby Mickiewicz był dziś między nami, pisałby również piękne utwory, ale nie piastowałby w sobie żadnego kapłaństwa: uczęszczałby na rauty i bale, rozprawiałby szeroko o wpływie rowerów na zdrowie ludzkie, grałby w winta i totalizatora, spotykałby się w jakiejś knajpie z przyjaciołmi i zjadałby z nimi codzienną porcyę plotek. Bo do takiego życia uspasabia, niemal zmusza literacko-artystyczna atmosfera Warszawy. Nie wiem, jak tę atmosferę odmalują potomnym pamiętnikarze; wątpię jednak, ażeby oni w niej odnaleźli jakieś źródła daleko sięgających prądów, jakieś pierwiastki przyszłości, coś co w historyi wszystkich oświeconych społeczeństw i naszego stanowi znamienne wyrazy osobnej epoki. Literaci i artyści warszawscy oddychają tem samem powietrzem, co filistrzy najpospolitszego gatunku, niczem się od nich nie różnią — ani stosunkami, ani upodobaniami, ani zwyczajnym biegiem myśli. W tym płytkim potoku nurzają się nawet najlepsi z nich. To też nieraz dziwić się trzeba, jakim sposobem oni — o ile nie usunęli się w samotność lub obczyznę, mogą ocalić swe umysły od zupełnego wyjałowienia, jakim sposobem zdołają wznosić się z duszącej niziny w wyższe kręgi myślenia i czucia. Ileż to razy słyszymy czyjeś zdziwienie po poznaniu jakiegoś bohatera literatury: całkiem inaczej go sobie wyobrażałem — nigdybym się nie domyślił. I czy może się domyślić mieszkaniec odległego zakątka, wierzący, że na ziemi rzeczywiście istnieje Parnas i ulubieńcy muz, że każdy autor jest kandydatem do księgi Plutarcha? Przystąpiwszy z bliska do tych „nadludzi“, przekonywa się, że jeden z nich przyznaje sobie talent rozpoznawania win z „zamkniętemi oczami“, drugi — „przegrałby z djabłem duszę w winta“, trzeci „wynalazł najsmaczniejszą zakąskę po wódce“, czwarty — umie wyliczyć wszystkich kochanków ładnej aktorki, piąty przesiaduje w stajni koni wyścigowych, szósty — gra na giełdzie itd.

Co tego rodzaju ludzie poza interesami i nowinami mają pisać w swych listach do przyjaciół? Oni nawet tych przyjaciół w swojej sferze nie mają. O takich serdecznych, ścisłych i trwałych związkach dusz bratnich, o jakich dowiadujemy się z korespondencyi Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Zaleskiego, w naszych czasach nikt chyba nie słyszał, natomiast nienawiściach, kłótniach, zazdrościach, intrygach — bardzo wiele. Jeśli się wiążą, to w klikę wzajemnej reklamy, jeśli się rozdzielają — to z powodu frazesu, drobnej sprzeczki lub mizernych pretensyi towarzyskich.

A jednakże ci ludzie mogliby — źle mówię — powinniby otrząsać swe dusze z pyłu pospolitości, wyzuć się ze skóry filisterstwa i stworzyć dla świata literackiego taką atmosferę, jaka przystoi wyżynom życia. Potrzebna ona jest nietylko dla nich samych, ale dla społeczeństwa, które zdrowieje i krzepnie, oddychając prądami świeżego powietrza, płynącego z gór na doliny.“

*

Ernesto Rossi.

Umarł Ernesto Rossi, tragik znakomity. Bez względu na to, iż grywał tylko po włosku, zaliczał się on do tego niewielkiego grona wybranych, którzy znalazłszy się na wyżynach sztuki, należą do wszystkich i przez wszystkich są podziwiani.

Sławny artysta włoski urodził się w r. 1829 w Liwornie i miał zamiar początkowo oddać się studyom prawnym. Opanowany namiętnością do teatru, zaciągnął się do trupy aktorów i zaczął już występować w siedemnastym roku życia w rolach pierwszych kochanków w Genui. Później należał do pierwszych kochanków głośnego aktora włoskiego Modeny. W r. 1847 występował w Medyolanie, w r. 1852 w Turynie, a w r. 1855 podczas wystawy w Paryżu razem z p. Ristori. Od tej pory Rossi odbywał liczne podróże artystyczne. W Wiedniu pierwsze jego role realistycznem traktowaniem zwróciły nań powszechną uwagę. Bawiąc na gościnnych występach z trupą włoską w Paryżu, grał na przedstawieniu poświęconem pamięci Corneilla, jego „Cyda“ na scenie „komedyi francuzkiej“. W r. 1869 w Lizbonie rozpoczął odgrywać role szekspirowskie. W czasie wystawy w r. 1873 występował po raz trzeci w Wiedniu z olbrzymiem powodzeniem, a potem zbierał tryumfy w Berlinie, Dreznie, Pradze, Warszawie, wreszcie w Londynie. Największemi kreacyami znakomitego artysty były role: Otella, Hamleta, Fausta, Cyda, Ludwika XI (w sztuce pod tymże tytułem Delavigne'a) i Nerona w „Nerone Artista“ Cossy. Rossi był zdeklarowanym realistą, który dążąc za prawdą, zwykł odtwarzać z całą wiernością i wstrętne, ponure jej strony, a jako technik należał do największych mistrzów sceny. Pracował również na polu dramatycznem, napisał kilka sztuk, pomiędzy innemi „Adelę“, specyalnie dla pani Ristori.

Oprócz tego ogłosił „Studii dramatici“ (Studya nad Szekspirem) i swoje pamiętniki w formie autobiografii: „Quarant' anni di vita artistica.“

Za najlepszą rolę Rossiego uważano „Hamleta“. Podzielał zdanie to i jego wielki rywal Salvini, który jednak twierdził, iż interpretacya Rossiego więcej odpowiada smakowi rasy romańskiej, niż anglo-saskiej. Salvini w swych pamiętnikach wyraża się z zapałem o tryumfach, jakie Rossi święcił już za młodych lat w teatrach włoskich. W scenach miłosnych zwłaszcza był niedoścignionym i porywał widzów. Autor pamiętników twierdzi, iż chyba nie było jeszcze artysty, któryby krótkie zdanie „kocham cię!“ — umiał tak mówić, jak Ernest Rossi. Nic też dziwnego, iż wielki artysta był też wielkim oblubieńcem pań zarówno w Paryżu i Wiedniu, jak i w Warszawie, oraz w innych stolicach. Nikt nie spodziewał się tak szybkiego zgonu artysty, który pomimo 67 lat wieku, był uosobieniem siły męzkiej. Prawdopodobnie, gdyby był więcej oszczędzał się, powstrzymywał od pracy, mógł był żyć jeszcze długie lata. Lecz dla niego żyć znaczyło grać na scenie, z którą nie mógł się rozstać, choć dała mu sławę, jaką niewielu wybrańcom dawać zwykła.

Dziś trudno już uprzytomnić sobie wrażenie, jakie swego czasu robiła realistyczna gra Rossiego, daleka od klasycznego dramatu i starej szkoły deklamacyjnej. Była to istna rewolucya w świecie teatralnym. Od tej pory realizm zapanował na wszystkich scenach włoskich, poparty pracą wielkiego artysty, który poświęcił mu swój talent. Rossi poszedł w tym kierunku nawet tak daleko, iż nie wahał się rzeczy wstrętnych i okropnych przedstawiać z prawdą, która krew ścinała w żyłach. Arcydziełem w tym rodzaju była scena śmierci Ludwika XI, konającego w kurczach epileptycznych. Przed nim nigdy jeszcze nie oglądano na scenie agonii tak strasznej w swej prawdzie. Zresztą i w innych kierunkach Rossi zachwycał: był tem co Francuzi zwą: Charmeur. W scenie z Ofelią, szczerość i czułość w tonie głosu, w którym drgały łzy, gdy ją do klasztoru odsyłał i jego „Va... va...“ na końcu, podbijały serca słuchaczów, budząc zapał niesłychany.

Rossi, jak to widać z ostatnich jego zwierzeń, pragnął zawsze umrzeć na scenie. Teatr był jego światem i w nim pragnął cicho zasnąć na wieki, jak „Lear“, którego grając w Odesie, uległ pierwszemu atakowi serca. Następne przyprawiły go o śmierć. O wielkim tragiku można powiedzieć, iż „był to w każdym celu król... w państwie sztuki!“

* *

Młot godłem i pogoń za sercem.

W pierwszych dniach tegorocznej wiosny, we wszystkich większych miastach zatrzymywali się przechodnie przed nalepioną na rogach ulic ryciną, której znaczenia nikt w pierwszej chwili nie odgadł. Niezgrabna ręka, z niezgrabnym młotkiem, stercząca po nad jakąś podartą kołdrą, czy popękaną skorupą, groziła światu. Nie umiano sobie zdać sprawy, czy ma to być bezmyślny figiel, czy też niezrozumiała satyra, lub może symbol jakiejś chorobliwej sekty.

Był to afisz, zapowiadający wystawę przemysłową w Berlinie. We Włoszech, w Szwajcaryi, w Niemczech południowych, oglądano ten dziwoląg ze zdumieniem. Naiwni mieszkańcy tych ziem nie mogli pojąć dlaczego na przynętę rozesłano po świecie rysunek, odznaczający się brzydotą. Niemcy, których krocie przejeżdżają co roku przez Alpy, doznawali sami pewnego zażenowania, ile razy ta fatalna ręka z młotkiem pogroziła im niespodzianie gdzieś pod obcem niebem. Z zakłopotania wyprowadzało ich dopiero zapytanie cudzoziemca, czy rysunek ten jest naprawdę w guście niemieckim?

— O nie, panie — brzmiała w takim razie odpowiedź — to tylko gust berliński!

Dla przyszłego badacza naszej epoki byłaby to szkoda nieoceniona, gdyby przynajmniej jeden egzemplarz tego afisza nie przechował się na pamiątkę. Tak jest, to gust berliński. Tak nie rysują w Monachium, Sztutgardzie lub Düsseldorfie. Ale, co więcej, to może się podobać tylko prusakom. Bawar, nadreńczyk lub szwab zapewnia z pośpiechem, że arcydzieło to nie jest produktem jego ojczyzny. Cóż go to może obchodzić, że Berlin ośmieszył się niefortunnym pomysłem.

Drobne szczegóły odsłaniają nieraz tajniki psychologii narodów. Stolica Niemiec i otaczająca ją część cesarstwa mają swój gust odrębny, z którego śmieją się na po-

łudniu i na zachodzie. Liczą się tam z prusakami często, potrzebują ich czasem, boją się ich zawsze, ale nikomu w tamtych krajach nie przyjdzie na myśl przejmować się gustem berlińskim, lub bronić go przed obcymi.

— Sądziłeś pan, że to w stylu niemieckim. Cóż znowu! Przecież odrazu poznać można prusaka!

To samo, co w drobnostkach, widzimy w rzeczach ważniejszych. Jest w tym młotku pewna tężyzna kapralska, pewne urąganie ludzkości, pewne, rzecby można, dorobkiewiczowskie wyemancypowanie się z pod prawideł dobrego tonu. Twórca afisza może powiedzieć z dumą, że wcielił weń duszę swego ludu. Ta tężyzna, ta buta jest złem charakteru narodowego. Nie może polubić gustu berlińskiego, kto nie pokochał duszy pruskiej, a na południe od Menu, na zachód od Wezery, nie pokochano jej dotychczas.

Prusacy to czują. Władza im nie wystarcza. Chcą, żeby ich kochano, a o to nie tak łatwo. O Fryderyku Wilhelmie I krąży podanie, że wpadał w gniew, ile razy, przejeżdżając konno przez ulice Berlina, widział swych poddanych, uciekających przed obliczem królewskiem. Król, dogoniwszy zbiega, używał niekiedy szpicruty. „Nie chcę — wołał — żebyście się mnie bali. Powinniście mię kochać, łajdaki!“ Prasa berlińska przejęła się tą zasadą. Złagodziwszy ton, powtarza ona to samo rodakom z za Menu.

Niedawno obchodzono w Monachium jubileusz tryumfów niemieckich we Francyi. Święcono ten dzień, jak gdyby był dniem narodowego bawarskiego święta. Cóż mogło być radośniejszem dla prusaków, jak widok tych uroczystości, dowodzących, jak drogą jest bawarom pamięć czynów wojennych, których dokonali pod komendą pruską dla dobra wspólnej ojczyzny niemieckiej?

Takby rozumowano gdzieindziej. Skoroście za nas krew przelewali, wolno wam dziś szczycić się waszem męztwem!

Logika berlińska jest jednak tak odrębna, jak gust berliński. Duch królewski ocknął się po stu pięćdziesięciu latach. Cóż z tego, że w Monachium cieszono się wspomnieniami, skoro nie wołano po ulicach, że to dynastya pruska i sztab pruski wiodły bawarów do zwycięztwa! Ręka z młotkiem wyjrzała ze szpalt dziennikarskich i pogroziła południowcom. Kochać nas powinniście, bo szpicruta Fryderyka Wilhelma jeszcze się w razie potrzeby odnajdzie!

Są okolice, w których silna pięść mężowska bywa najlepszą rękojmią miłości małżeńskiej. Czy zasada ta obowiązuje także w stosunkach między pobratymczemi szczepami? Poeci z nad Nekaru i Menu inaczej o tem mówili, inaczej też mówią o tem i dzisiejsi mieszkańcy tamtych stron. Młotek na afiszu bawi ich, do serca im nie przemawia.

T. S.

NA WYŁOMIE.

(Fabrykacya „olbrzymów“. — Biuletyny. — Zrozumieli.)

Ani królewskości ducha ani królewskości uczuć nie posiadają „królikowie“ czy też „królicy“ poznańscy. Ot! pospolite krasnoludki myśli i serca z papierową koroną obnosicieli szopek na głowie, a przed nimi tłum bezkrytycznych, wylękłnionych dzieci, bijący pokłony, to typowy obraz społeczeństwa naszego. Co jednak jest podziwienia godnem w tych postaciach królów teatralnych, to wielka komedya pozorów i głośny tamtam reklamy, którėmi królewskość swoją rozdymać i utrwalać lubią.

A kiedy palec przyłoży do nosa
I w płaszcz z purpury zamieni kubraczek,
Rzekłbyś, że wzleciał w słoneczne niebiosa
Orzeł, król ptaków... głupcze! toć to szpaczek.

Przypatrzcie się tylko, jak oni umieją aranżować swe królewskie gody, z jakim aplombem majestatu prezentują swoją balonową wielkość otoczeniu. Stanie taki pan i powie „dwa razy dwa jest cztery“, ale jak on to powie, — co za mina, co za głos! rzekłbyś, że rozwiązał jednę z siedmiu zagadek przyrody, nad któremi Du Bois Reymond głowę sobie suszył naprożno. A gdy którego palec zaboli, jakiż to bęben huczy po mieście i prowincyi, jakież wyliczanie każdej łzy litościwej, jaka reklama nabożeństw na intencyę zdrowia, jakie biuletyny wspaniałe! Komedya ta w najświeższych czasach przybrała rozmiary tak niesmacznej blagi, że nawet najpotulniejsi czciciele wszelkiej powagi „ładu i porządku“ zaczynają głowami kręcić, krzywią się i drwią coraz głośniej. Domyślacie się niezawodnie wszyscy, o czem mówię — mówię o jednym z najruchliwszych komiwojażerów własnej wielkości, typowym króliku poznańskim, któremu imię „Franciszek Mały.“

Pan Dobrowolski złamał przed niedawnym czasem nogę i od krytycznej tej chwili „Dziennik Poznański“ zamienił się w gorliwszego niż zwykle pozłotnika gasnących blasków swego redaktora i w stroiciela opinii, której harmonia uwielbienia coraz częstszym rozdźwiękiem zgrzytała. Gwoli pouczenia następców tronu starego królika, pozwolę sobie tu zestawić kilka wyjątków z reklamowej farsy, a przekonany jestem, że taki indeks przyda się może niejednemu z tych, dla których nie wielkość prawdziwa, lecz wydęcie własnej małości pozostanie celem zabiegów.

„Dziennik Pozn.“ pisze:

Poniedziałek. Dowiadujemy się, że w środę odbędzie się msza św. na intencyę wyzdrowienia redaktora pisma naszego w kościele X. Y. Z. itd. Donoszą nam również, że w miasteczkach A. B. C. i wsiach C. D. E. poważni obywatele zakupili nabożeństwa na intencyę p. Dobrowolskiego.

Wtorek. Przypominamy, że jutro odbędą się msze itd.

Środa. Dziś rano odbyły się nabożeństwa etc. Zebrała się ogromna liczba wiernych.

Czwartek. Pauza.

Piątek. Dowiadujemy się, że „dzieci polskie“ i „panienki z pensyi panny W.“ zakupiły mszę świętą na intencyę pana Dobrowolskiego

Sobota. Biuletyn. „Złamanie nogi p. Dobrowolskiego odbywa się zupełnie prawidłowo (Boże! co za styl!) i jest uzasadniona nadzieja, iż pacyent po upływie kilku tygodni powróci do dawnego zdrowia. *Dr. A. — Dr. B.*“

Niedziela. Pismo nie wychodzi. — Pauza.

Poniedziałek. Z powodu choroby naczelnego redaktora pisma naszego nadesłali telegramy i listy kondolencyjne: książę C., hrabia P., poseł K.

Wtorek. Odpowiedzi Redakcyi. Hrabiemu S. Na łaskawe zapytanie odpowiadamy uprzejmie, że stan zdrowia naczelnego redaktora naszego ma się ku lepszemu.

No i tak dalej.

Od dwóch tygodni ta sama melodya, tylko kuplet inny. Czyż jest na świecie monarcha, którego organ przyboczny głośniejszą obsługuje reklamą? Czy w razie choroby wielkiego poety, wielkiego myśliciela, wielkiego męża stanu „Dziennik Poznański“ kiedykolwiek krzykliwszą — co mówię? równie krzykliwą urządzał żałobę? Gdyby dziś narodził się drugi Mickiewicz i drugi Kościuszko, i gdyby ten Mickiewicz lub Kościuszko złamał obie nogi, z pewnością żadne z pism nie komentowałoby tak szeroko i tak często każdej mszy, każdego telegramu. każdej recepty, każdego bandażu, proszku i pigułki. Tak się u nas reperuje sztuczne wielkości. Spamiętajcie to sobie kandydaci do berła i korony na poznańskim bruku.

Proszę mi tylko nie podsuwać fałszywych intencyi. Życzę p. Dobrowolskiemu z całej duszy, aby jego „złamanie nogi odbywało się w dalszym ciągu prawidłowo“ i będę szczęśliwy. jeżeli modły niewiniątek i pensyonarek wyproszą u Najpotężniejszego z wszystkich lekarzy łaskę dla pacyenta. Życzenia moje są tem szczersze, ponieważ Nestor dziennikarstwa naszego pod wieczór życia zaczyna się nareszcie orjentować w stosunkach Księstwa i rozpoznaje robaka tam, gdzie przez długie lata widział tylko różę, symbol miłości. Ileż to klątw padało na głowy nasze, gdy zrazu organy ruchu ludowego, a później „Przegląd Poznański“, uderzyły w dzwony na trwogę, wskazując na rozbieżne dążenia interesów kościelnych i narodowych, — ileż to razy „Dziennik“ mianem agitacyjnego frazesu piętnował nasze przestrogi i proroctwa nasze, — a dziś? bielmo tam z oczu opada i po raz pierwszy od lat wielu odzywają się jakieś ciche podejrzenia, jakieś symptomy przeczuć bojaźliwych. Dziwny rozwój wypadków! To samo pismo, które w sojuszu z „Kuryerem Poznańskim“ mianowało nas wrogami religii za to jedynie, że odmówiliśmy bić bałwochwalczych pokłonów przed polityczną rolą Kościoła, — to samo pismo dziś okiem podejrzliwem bada intencye rzymskiej dyplomacyi i może niebawem usłyszy nad głową swoją ten okrzyk, którem starano się i nas zdruzgotać: Wróg religii! Anathema sit!

Tak! Wy tępemi oczyma nie dojrzeliście tego, co nasze oko od lat już kilku spostrzegło. Wy z drobnych objawów sądzić nie umiecie, lekkich, podziemnych drgnień nie odczuwacie, — wam trzeba zawsze faktów masowych, uderzeń silnych i głośnych. I dla tego zdarzyć się może łatwo, że gdy za broń chwycicie i szyki sprawiać zaczniecie, zabrzmi wam nad uchem to smutne słowo: „Zapóźno!“

Sulla.

KRONIKA POWSZECHNA.

Teatr i muzyka. Teatr łódzki, występujący w letnich miesiącach w gmachu cyrkowym w Warszawie, rozpoczął sezon szeregiem żywych obrazów z Sienkiewiczowskiej powieści „Quo Vadis“. — Przeciw reżyseryi p. Szymanowskiego w warszawskich teatrach rządowych budzi się coraz ostrzejsza opozycya. Maryan Gawalewicz domaga się stanowczo w „Kraju“ petersburskim, by w interesie sceny postarano się niezwłocznie o zmianę kierownictwa. — Opera lwowska, goszcząca w letnich miesiącach na krakowskiej scenie, zapowiada szereg gościnnych występów śpiewaków i śpiewaczek warszawskich. — Panna Marta Jankowska występuje obecnie w operze berlińskiej. — Z Chicago donoszą do dzienników krakowskich, że Helena Modrzejewska zachorowała niebezpiecznie na serce i reumatyzm stawowy.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Sokół. Szanowny druh ma o tyle słuszność, że istotnie zlot Sokołów czeskich w Cieplicach został pierwotnie wzbroniony. W ostatnich dniach jednak nadeszło pozwolenie na odbycie zlotu (14 bm.), który Niemcom jest solą w oku.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28